NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 23 lutego 1907. Nr. 8.

Wesoły kryminał.

(Treść na stronie 2).



Wesoły kryminał.

(Do illustracyi tytułowej.)

Różne już psoty robili więźniowie ku utrapieniu swoich dozorców, ale pono jeszcze nigdzie nie zdarzyło się nic podobnego, jak w lwowskim „kryminale" obok sądu karnego przy ul. Batorego.

Było to pod koniec zapust, więc musiało się aresztantom przypomnieć, iż zazwyczaj w noc karnawałową spędzali po kilka godzin o wiele przyjemniej na tańcach ze swojemi bogdankami... Zapewne taka tęsknota ogarnęła więźniów, którzy siedzieli wspólnie w pewnej kaźni na drugiem piętrze w liczbie sześciu. A ponieważ cała uwaga dozorców skierowaną była na inne skrzydło gmachu, gdzie siedzą ruscy studenci, uczestnicy napadu na uniwersytet, więc korzystając z okazyi, aresztanci z tej celi postanowili się zabawić. W podłodze wyważyli deskę, poczem wyjęli cegły i pracowali wśród nocnej ciszy, dopóki nie utworzył się dostateczny otwór w powale znajdującej się poniżej kaźni, która należała do oddziału kobiecego. Wtedy jeden po drugim wszyscy dostali się na dół, gdzie spało 7 aresztantek.

Nie wiadomo, jakie tu przyjęcie spotkało tak niespodziewanych gości, dość, że rano dopiero wszystko się wydało, gdy do kaźni kobiecej wszedł dozorca, a wówczas przeprowadzone śledztwo wykazało, jakie działy się tam orgie...

Ale co ważniejsza, że dzięki temu wydarzeniu wyszło na jaw, iż niekoniecznie w zapusty i bez wyłomów w murze, sami dozorcy więzienni mają zwyczaj nadużywać swej władzy względem aresztantek. Spodziewać się można, że samowola ich w tej mierze zostanie ukróconą, a wypadki podobne powyższemu, nie powtórzą się w przyszłości.

Czterdzieści lat nauczycielką.

Czterdzieści lat spędzić na ciężkiej, pełnej poświęcenia i żmudy pracy pedagogicznej, spędzić je w jednej i tej samej szkole, naprzód w charakterze nauczycielki, a następnie dyrektorki, to rzecz istotnie w dzisiejszych czasach niezwykle rzadka. A właśnie w ubiegłym tygodniu żegnało nauczycielstwo lwowskie kobietę, która pracowała tak długo w zawodzie nauczycielskim, żegnało jednostkę, jedną z najgodniejszych z pomiędzy siebie, co nietylko swe zawodowe obowiązki chlubnie pędziła, ale równocześnie z całem poświęceniem się uczyniła zadość obowiązkom żony i matki. Kobietą tą jest pani Apolonia Winiarzowa, dyrektorka szkoły im. św. Maryi Magdaleny we Lwowie.

Przed laty 40 rozpoczęła w tej szkole pracę nauczycielską, a po latach 9 wzorowej pracy została mianowaną jej dyrektorką. Na stanowisku tem do ostatnich dni pracowała z całem oddaniem się i poświęceniem. Przechodząc obecnie w tak zasłużony stan spoczynku, rozstała się ze szkołą, w której tyle lat spędziła, rozstała się z gronem nauczylskiem, które pod jej okiem kształciło młode pokolenia, rozstała się z nauczycielstwem Lwowa, a wreszcie z tak ukochaną przez się dziatwą.

Uroczystość pożegnania p. Winiarzowej odbyła się we wtorek ubiegłego tygodnia. Po nabożeństwie w kościele św. Maryi Magdaleny, nastąpiło zebranie w pięknie udekorowanej sali gimnastycznej



40 lat nauczycielką: Dyrektorka szkoły im. Maryi Magdaleny we Lwowie, Apolonia Winiarzowa.

szkoły. Przybyło tam bardzo wiele osób zaproszonych, prócz nauczycielstwa delegat Rady szkolnej kraj. radca Bolesław Baranowski, inspektor szkół lwowskich p. Bruchnalski, kilku księży katechetów oraz zastęp dziewcząteк, byłych uczenic ustępującej dyrektorki.

Przebieg uroczystości był bardzo podniosły. Kiedy do sali wprowadzono sędziwą, osiwiałą w pracy jubilatkę w towarzystwie dwu dorosłych córek, chór dziewcząteк ze szkoły św. Maryi Magdaleny odśpiewał okolicznościową kantatę. Następnie jedna z uczenic pożegnała ukochaną przełożoną przepięknem, pełnem poezyi, a serdecznem przemówieniem, a druga wręczyła jej dar od grona nauczycielskiego szkoły: prześlicznie wykonany adres, ozdobiony pięknymi rysunkami, owoc pracy uczenic oraz nauczycielki p. Zygmuntowiczówny. Przemawiało potem jeszcze kilka osób, oddając hołd zasługom jubilatki, a ona, wzruszona tylu objawami sympatyi i przyjaźni, podziękowała zebranym w gorących słowach. Kilku pieśniami, odśpiewanemi przez chór uczenic, zakończyła się uroczystość.

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze portret jubilatki p. Apolonii Winiarzowej, oraz zdjęcie z uroczystości, przedstawiające grupę uczestników, zebranych pod budynkiem szkolnym.

Z teatru polskiego w Poznaniu.

Zaiste tragiczny wypadek zdarzył się w polskim teatrze w Poznaniu, a jego ofiarą padł młody aktor ś. p. Kossobudzki, który jeszcze niedawno występował w teatrze ludowym w Krakowie. Właśnie stąd zaangażował go na swoją scenę dyrektor Ryger, którego Kossobudzki prosił o to tem bardziej, że nietylko dostałby się do dobrej szkoły dla młodych aspirantów, ale że nadto znalazłby się wśród krewnych, których miał istotnie w Poznaniu w rodzinie Szembeków, Hulewiczów i innych. Po pomyślnym debiucie w sztuce „Sherlock Holmes", grał Zygmunt Kossobudzki w Poznaniu kilka małych ról, ostatnim razem 9 b. m. w „Pięknej Marsyliance". Dla nowego środowiska teatralnego, w którem tak krótko dopiero przebywał, był uprzejmym i grzecznym, ale nie mogło ujść uwagi, że zdradzał często poniekąd anormalne usposobienie. Spostrzegły to nawet osoby z poza teatru, które znały Kossobudzkiego zwłaszcza z tej strony, iż ulubionym tematem jego była dyskusya o szlacheckiem swojem pochodzeniu, o paranteli z arystokracyą, o kilku pojedynkach, jakie miał w Warszawie itp.

W sobotę 9 b. m. w garderobie teatralnej, tuż przed przedstawieniem, kiedy wszedł dyrektor dla obejrzenia kostyumów i charakteryzacyi artystów, nagle zwrócił się do niego Kossobudzki i wskazując stojącego tuż opodal swego kolegę Zawierskiego, zawołał tonem rozdrażnionym: „Przed chwilą Zawierski znieważył mnie obraźliwem słowem — oto moja odpowiedź..." i wymierzył mu policzek. Kiedy dyrektor starał się umitygować powaśnionych, strofując ich za zniewagę wyrządzoną świątyni sztuki, Kossobudzki wyszedł do sąsiedniego pokoju, a tutaj jeden z jego kolegów Rojewski (Baj) uderzył go znienacka w twarz, jakby w odpowiedzi za poprzednie zajście, ale tego wówczas nikt nie zauważył. Przedstawienie odbyło się szczęśliwie. Aż dopiero nazajutrz w garderobie Kossobudzki podszedł do Rojewskiego najspokojniej i rzekł: „Pan mnie wczoraj znieważyłeś i odmówiłeś satysfakcyi, a więc giń!" Co mówiąc, strzelił z rewolweru prosto w pierś Rojewskiego, poczem sam sobie w skroń. Koledzy poskoczyli na pomoc. I okazało się, że Rojewski uniknął śmierci dzięki temu, że kula uderzyła w guzik od kamizelki i odskoczyła, ale zato Kossobudzki leżał nieprzytomny na podłodze, ciężko oddychając. Konającego przewieziono do szpitala, gdzie mimo gorliwej pomocy lekarskiej nieszczęśliwy desperat wyzionął ducha o 1-szej w nocy.

Pan Marcin Baj-Rojewski zaprzecza jakoby miał odmówić pojedynku, lecz żądał według wszelkich form przy-



Fot. umyślnie dla »Now. Ill.« N. Lissa, nadw. fot. we Lwowie.

40 lat nauczycielką: Grupa uczestników pożegnania dyrektorki B. Winiarzowej przed szkołą Maryi Magdaleny we Lwowie. (1. jubilatka, 2. radca B. Baranowski, 3. inspektor Bruchnalski).

słania świadków itp., tem bardziej, że jest pono byłym podoficerem austryackiej artyleryi. Tymczasem Kossobudzki nie czekając sam sobie wymierzył sprawiedliwość, mimo, że dyrektor Ryger byłby był postarał się łatwo o zapobieżenie podobnej katastrofie przez złożenie sądu honorowego koleżeńskiego. Brat desperata, zawezwany do Poznania, przyznaje, że zmarły był porywczy z natury i zawsze broń nosił przy sobie.



Z teatru polskiego w Poznaniu: Dyrektor Edmund Ryger w roli »Larika«.

Szkoda człowieka młodego, a dobrego i szlachetnego, który zginął tak przedwcześnie i tak tragicznie!

* * *

Powyższe zajście zwróciło uwagę publiczności polskiej na teatr poznański. Toteż obok fotografii śp. Kossobudzkiego, podajemy jeszcze kilka illustracyj z tej najważniejszej placówki polskości w zaborze pruskim. Na jej czele stoi już od 11 lat znakomity artysta polski Edmund Ryger. Tak długo nie prowadził sceny poznańskiej żaden z jego porzedników: Sarnecki, Jaraczewski, Doroszyński, Terenkoczy, Kościelski, Podwyszyński, nawet Dobrowolski w czasach lepszych, gdzie wolno było grać w Poznaniu polskiej trupie przez cały rok i nadto jeździć po Księstwie, Prusach Zachodnich i Śląsku. Dziś może polski teatr pracować w roku tylko 8 miesięcy w Poznaniu, a wycieczek na prowincyę odbywać mu już nie wolno, co gorsza, nie wolno mu też grywać wielu sztuk narodowych (między temi Wyspiańskiego), które miałyby największe powodzenie kasowe. A tymczasem teatr poznański, to najtrudniejszy posterunek artystyczny, bo bez opieki miasta lub pomocy kraju. Uciskana publiczność polska nad Wartą dba jedynie o zdobycze materyalne, pracując przy warstacie, w fabryce, za ladą kupiecką, lub w instytucyach finansowych, a jak najmniej troszczy się o potrzeby duchowe, to też zaledwie jedna dziesiąta część jej kupuje polską książkę i chodzi do polskiego teatru. Zatem pojąć łatwo, ile ma do zwalczenia, w ostatnich zwłaszcza pięciu latach, dyrektor Ryger, który mimo to podniósł wysoko poziom artystyczny sceny, grywając codzień oprócz potężnych dramatów i tragedyj Słowackiego i Szekspira, Szyllera, wszystkich prawie naszych autorów dawnych i żyjących, jakoteż pisarzy głośniejszych zagranicznych. Wogóle teatr poznański spełnia uczciwie swą misyę kulturalno-narodową w tych trudnych warunkach. Wystawa sztuk i ukostyumowanie sztuk jest zawsze staranne, a często bogate, stylowe, mimo, że ceny biletów są bajecznie niskie, tańsze niż w naszych teatrach ludowych. Co do personalu, to wiadomo, że scena poznańska jest teraz za dyrekcyi Rygera wyborną szkołą dla młodych sił aktorskich; wszak stamtąd wyszli między innymi: Tarasiewicz, śp. Olszewski, Bednarczyk, Adwentowicz, Kosiński, Wysocka, Pawłowska Łęcka, Pawłowska (warszawska), Podgórska, Dobrzański (tych dwoje ostatnich pracuje dziś w polskim teatrze w Wilnie).

Niestety w przyszłym roku Edmund Ryger opuszcza stanowczo Poznań i powracając do Krakowa, zostawi następcy teatr wyekwipowany we wszystko i finansowo uregulowany solidnie. Oprócz widoku budynku teatralnego w stolicy Wielkopolski, oraz grupy jego artystów, dajemy osobno portret sympatycznego i dzielnego dyrektora w jego świetnej roli w sztuce „Larik“ Gadomskiego. Grał go Ryger w Krakowie w 1887, a potem wystawił w Poznaniu, podczas gdy inne teatry nasze zapomniały, niewiadomo dlaczego, o tym ideowym dramacie.



Z teatru polskiego w Poznaniu: Młody artysta Jerzy Ryger.

Na tęgiego aktora wyrabia się przy boku ojca młody Jerzy Ryger, którego fotografię również załączamy. Pracuje gorliwie i z zapałem, a z wielkich ról grał w poznańskim teatrze „Konrada-Gu-



Z teatru polskiego w Poznaniu: Grupa artystów sceny poznańskiej (1. dyrektor Edmund Ryger, 2. ś. p. Zygmunt Kossobudzki, .3 Marcin Baj-Rojewski).

stawa, Zbigniewa (Mazepa), Konrada (Kiejstut Asnyka), Edgara (Król Lear), Maksa (Wallenstein) itd. Zyskał ogólne uznanie i zaskarbił sobie sympatyę publiczności, a jeden z miejscowych magnatów, zajął się młodym talentem i ułatwi mu



Z teatru polskiego w Poznaniu: Zmarły tragicznie artysta śp. Zygmunt Kossobudzki.

dalsze studya literackie i lingwistyczne, wysyłając go na swój koszt zagranicę, by uzbrojony we wszelkie arkana wiedzy artystycznej i estetycznej, mógł służyć z pożytkiem polskim scenom.

Fabryka pieniędzy w Łodzi.

Policya śledcza w Łodzi przed tygodniem dokonała niespodziewanie rewizyi w suterenach domu l. 10 przy ulicy Wschodniej. Mieszkanie, do którego ajenci weszli, składało się z czterech pokoji. W trzech pierwszych nie znaleziono nic podejrzanego i już policya wyobrażała sobie, że donos, na podstawie którego odbyto rewizyę, był tylko mistyfikacyą, gdy nagle w trzecim pokoju usłyszano z poza ściany przytłumione głosy. Ajenci rzucili się do drzwi następnych, otwarli je gwałtownie i oto w czwartym pokoju zastali sześciu ludzi, pracujących spokojnie nad wyrobem pieniędzy — w ten sposób, jak to widać na załączonej fotografii, zdjętej na miejscu dla użytku wydziału śledczego. Stała tam w kącie pokoju ogromna maszyna, na której odbywała się cała fabrykacya falsyfikatów, przeważnie 10 kopiejkówek. Obok leżały nadto rozmaite narzędzia pomocnicze i metale. Znalazły się wreszcie i formy wszystkich będących w obiegu monet rosyjskich. Olbrzymi warstat, ważący 100 pudów, przeniesiono do wydziału śledczego z pomocą aż 30 żołnierzy, którzy natrudzili się wielce, zanim się z ciężką maszyną uporali. Aresztowani przy pracy podziemnej fałszerze pieniędzy są żydami. Najstarszy z nich Kiwa Winter, z zawodu kotlarz, ma lat 66, dwaj jego synowie Monachem i Jakób, liczący około lat 19 i 20. byli rzemieślnikami również, jak starzec; po 33 i 32 lat liczą kupiec Szlama Goldberg i kolektor Majer Goldhaar, a najmłodszy Szlama Hamer, giser, ma dopiero lat 16.

Sejm galicyjski.

Sejm galicyjski, którego kadencya i żywot w tym roku dobiega kresu, zebrał się w ubiegłym tygodniu we Lwowie na przedostatnią sesyę. Krótka bo zaledwie dwa lub trzy tygodnie trwać mająca sesya ta, powinna być jednak płodną w doniosłe uchwały. W program prac na tę sesyę do załatwienia przeznaczonych, wchodzą bowiem obok szeregu innych, ustawy: drogowa i łowiecka, te dwie bo-



Z teatru polskiego w Poznaniu: Fasada gmachu teatralnego

łączki, o których załatwieniu lud galicyjski od tak dawna się dopomina, wchodzi wreszcie sprawa polepszenia płac galicyjskiego nauczycielstwa ludowego. Odroczoną natomiast została do sesyi ostatniej, mającej się odbyć w jesieni, sprawa zmiany ordynacyi wyborczej. W tej sesyi ozwała się ona jakby echem we wniosku nagłym posła Stapińskiego, który żądał załatwienia reformy wyborczej na zasadach czteroprzymiotnikowego prawa głosowania, już obecnie. Wniosek jego jednak upadł. Chwilę, w której poseł Stapiński motywuje swój wniosek o powszechne głosowanie do sejmu, przedstawia jedna z naszych fotografij.

W kuloarach sejmowych wre też życie i ruch panuje gorączkowy. Zaszłe w ostatnich czasach doniosłe wypadki polityczne, przeprowadzona reforma wyborcza do rady państwa, nadchodzące wybory, kwestya ordynacyi wyborczej do sejmu, a wreszcie cały szereg wypadków bieżących, oto sprawy, które zaprzątaja umysły posłów sejmowych. Rozprawiają oni, żywo w grupkach, przeważnie w zgodzie i spokojnie, choć zetkną się członkowie stronnictw skrajnie przeciwnych.

Pełno też w czasie każdego posiedzenia deputacyj, które konferują z poszczególnymi posłami.

Właśnie druga z naszych rycin przedstawia scenę, gdy poseł dr. Głąbiński przyjmuje deputacyę dwu włościan i żywo z nimi rozprawia.

Trzecia wreszcie rycina uprzytomnia chwilę, gdy grono posłów opuszcza gmach sejmowy po zamknięciu posiedzenia.

Załączamy też portret marszałka Badeniego, który przewodniczy sejmowi galicyjskiego.



Fot. F. Stolarski, Łódź.

Fabryka pieniędzy w Łodzi: Fałszerze monet podczas roboty w suterynach przy ul. Wschodniej.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

10

Ciąg dalszy.

— Tamten szampan przyniósł mi wygraną a ten jest z waszych pieniędzy panowie.

— Ile też pan wygrał? — spytał Jegorow.

— Gracz nie powie prawdy, ale nie jestem zawodowym... i zdaje się, że około stu pięćdziesięciu rubli.

— Panowie, zdrowie szczęśliwego gracza, który do bogatej Warszawy wiezie nasze ubogie pieniądze! — zawołał Jegorow.

— Oby przegrał z nami! — krzyknął Kola, wznosząc kieliszek.

— Widać naszego brata — wołał rozczulony naczelnik, przyciskając swe grube wargi do ust Koli.

— Oby przegrał! — zakrzyknęli inni.

W tem wpadł żołnierz z odwachu i pobladły zameldował o powrocie żołnierzy bez rezultatu ze wsi Olszanki.

— Czyś zwaryował? — krzyknął Martynow — co pleciesz? jaka Olszanka?

— Wasze błagorodie rozkazał.

— Zwaryował... zawołaj mi tu feldfebla! — a do towarzyszów — jakaś pomyłka, czy co?

— Hm... zdarza się i to — zaczął naczelnik, odstawny kapitan i jął opowiadać w splątany sposób dzieje patrolu.

Zanim skończył swą historyę wszedł feldfebel i meldował, że żołnierze wysłani na zluzowanie warty przy kasie, zostali w drodze skierowani do Olszanki, jakoby na rewizyę i obecnie wrócili.

— Ktoś z naszych zrobił głupi żart — odezwał się Jegorow.

— Nic innego — dodał Martynow — a posłałeś na zmianę przy kasie?

— Nie było rozkazu.

— Poszlij... i nie nudźcie mnie do czorta.

Zasiedli znów do gry; Kola był w doskonałym humorze, opowiadał zabawne anegdoty i co chwila rozbrzmiewał pokój głośnemi śmiechami. Jeden tylko Bal nie mógł się dostroić do ogólnej wesołości: czekał z pewną obawą chwili, gdy feldfebel zamelduje o związaniu żołnierzy na posterunku. Spojrzał na grających; wszyscy byli podnieceni trunkiem, najbardziej dwaj naczelnicy, najmniej Kola.

To go pocieszyło, gdyż zanim się wytrzeźwią, aby wydać stosowne rozkazy do schwytania winnych zabrania kasy, ci będą daleko, a Wanda jest już od kilku godzin w domu. Czynił sobie gorzkie wymówki, że Młota i Marcelego wysłał dalszą drogą, ale któż mógł przewidzieć, że dopiero po drugiej zaczną się poszukiwania za żołnierzami z posterunku.

Teraz już nie wszedł, ale wpadł struchlały feldfebel i z progu zawołał:

— Wasze błagorodie, żołnierze przy kasie byli powiazani, okno rozbite, kasa rozbita!

— Co? co? — spytał pobladły Martynow.

Żołnierz powtórzył.

Wszyscy rzucili karty na stół; Martynow cały drżący ubierał się skwapliwie; Jegorow szukał szabli nie umiejąc jej znaleść; obydwaj naczelnicy skwapliwie ubierali się w płaszcze, wszyscy wystraszeni, bełkotali tylko urywane wyrazy.

Na razie zdawało się, że wszystkich ta wiadomość otrzeźwiła.

Wasyl Wasyliewicz pierwszy się opamiętał i zawołał:

— Trzeba zatrąbić na alarm! — i otworzył drzwi, przez które wpadły donośne tony trąbki alarmowej z odwachu.

Kola i Bal stali z boku, a po wyjściu gości rzekł Bal do zastraszonego gospodarza:

— Jutro ureguluję rachunek — a powiedział z miną tak pańską, że Szaja skłonił się nisko, mówiąc:

— Słucham wielmożnego pana.

Gdy już byli w zajeździe, posłyszeli szybkie kroki piechoty i tupot kłusujących koni kozackich.

Nad ranem zbudziło ich ostre pukanie do drzwi a po otwarciu wpadli żołnierze przetrząsając pokój i jako nietutejszych chciał feldfebel prowadzić na odwach, dopiero wdanie się starszego strażnika uwolniło ich od tego. W całem miasteczku zarządzono ścisłą rewizyę, poszukując sprawców i zaaresztowano przeszło sto osób podejrzanych.

Bal chcąc się dowiedzieć o zarządzeniach pościgu, poszedł wraz z Kolą do naczelnika powiatu. Zastali obu naczelników przygnębionych, zastanawiających się nad możliwemi następstwami zabrania kasy.

— No, nigdym się nie spodziewał tak śmiałej zbrodni, porwali się na rząd, na kaznaczejstwo, i to gdzie? W moim powiecie! — i zaklął siarczyście.

— I nie natrafiono na ślad? — spytał Bal zainteresowany.

— Gdzieżby, takie łajdaki nie zostawili nic, ale to nic.

— No darujcie naczelniku — odezwał się Wasyl Wasyliewicz — zostawili kwit i przeklęty sztandar.

— To były drwiny! — zawołał z pasyą naczelnik — no, złapię ja którego, będzie mu ciepło...

— Ale jakim sposobem mogli zrabować kasę, czyż nie było straży? — spytał Kola.

— Wojsko winno, tylko wojsko! — zawołał z gniewem Wasyl Wasyliewicz — i tam są wspólnicy. Sołdaci zeznali, że hasło było prawdziwe; inni sołdaci, którzy szli na zmianę, jak sami słyszeliście, zostali wysłani za miasto. Do Dymitrowa sołdat chciał strzelać, gdy ten zamierzał zbadać budynek, to i któż winien? Wojsko!... Ale tym sukinsynom nic nie będzie, a mnie ukarzą.

— A mnie? — spytał żałośnie naczelnik.

— E, co tam wam!? Już piąty rok na miejscu siedzicie, kupiliście majątek, co dla was odstawka? Ale ja? Zaledwie dwa lata.

— Jest i u was gotówka... wiemy.

— Ja się nie wypieram, na stare lata coś zacząłem zbierać, ale nawet chałupy nie kupię a wy macie wieś.

Wśród chwilowego milczenia odezwał się Bal:

— Może to wszystko na dobre się obróci, jak schwycą winnych, będzie to wielką zasługą panów wobec rządu.

— Nu, jak schwycą — uśmiechnął się błogo naczelnik — telegramy poszły na wszystkie strony, kozacy ruszyli w pościg, strażnicy, żandarmi...

— Nie schwycą, upewniam — rzekł z goryczą Wasyl Wasyliewicz — gdyż napad, jak wykazało śledztwo, odbył się pomiędzy 12 a 2 godziną w nocy. Jeszcze o pół do dwunastej żołnierz był na warcie i nie puścił Dymitrowa, a dopiero około trzeciej ruszyli kozacy w pogoń. Zresztą mojem zdaniem winnych i wspólników trzeba szukać tu w mieście, pomiędzy wojskowymi.

— Nu, niema co, pożywili się skatiny — westchnął naczelnik — toż pół miliona, to nie żarty!

— Byle dostać którego żywcem — rzekł Kola — już on wyśpiewa.

— I my wiemy o tem, to też kozacy i strażnicy mają rozkaz brać tylko żywcem, inaczej wszystko przepadnie, bo wpierw sami obrabują a oddadzą nagiego trupa.

Bal począł się żegnać z naczelnikami, oświadczając, że dziś wyjeżdża do Warszawy.

— Muszę i ja jechać do naczalstwa — westchnął naczelnik — to możebyśmy tak razem pojechali na stacyę?

— Będzie mi bardzo przyjemnie i po czwartej będę tutaj.

— Więc do widzenia, a kłaniaj się pan odemnie panu Żegielskiemu, to porządny obywatel, spokojny.

— Dziękuję.

Gdy przechodzili przez rynek, jakiś żyd ukłonił się im nisko. Poznał w nim Bal stolarza Chaima i puszczając przodem Kolę, spytał:

— Jakże tam moja skrzynia?

— Ona jutro będzie — a ciszej — dziś o ósmej byłem już tu... towarzysze odjechali.

— Dziękuję towarzyszu.

— Ja mam jeszcze prośbę... Niech pan powie towarzyszowi Nestbergowi, że Chaim Nuss zrobił co mu kazano, czy dobrze?

— Naturalnie, on będzie wiedział o wszystkiem i jeszcze raz wam dziękuję.

— Niema za co... a skrzynia jutro będzie.

Zanim dojechali do dworu Żegielskich spotkali na drodze wyczekującą ich Wandę.

— Taka byłam o was niespokojna — mówiła, gdy wysiedli z powozu i szli ku dworowi — jak można było leźć w paszczę smoka!

— To nas uratowało — zaśmiał się brat — a teraz twoja historya.

— Dojechałam z trzema towarzyszami szczęśliwie do domu, sama powoziłam, ale konie nieszczególne, zwłaszcza wiesz, ten prawy, orczykowy...

— Nie, nie wiem, bo nie widziałem... cóż dalej?

— Nie wiesz? Myślałam, że kupiłeś?

— Nie, tylko pożyczyłem i cóż?

— Stanęłam przy furtce ogrodowej, wiesz ta na polu, złożyli wszystkie woreczki i odjechali. Nie pozwoliłam im zatrzymywać się — spojrzała, czekając uznania.

— To bardzo przezornie — pochwalił Kola — bo mogli ich pochwycić kozacy lub strażnicy.

— Domyśliłam się tego — skinęła głową — ale największy kłopot miałam z wnoszeniem złota, bo tego dużo i ciężkie. Cztery razy wracałam po złoto, ale nikt mnie nie dojrzał. Raz zdawało mi się, że ktoś mnie śledzi, schowałam się w krzaki, ale to..

— Była krowa — zaśmiał się brat.

— Nie zgadłeś, to był łanowy, wracający z pola. Otóż to całe złoto jest w moim pokoju, a ile tego, sama nie wiem.

— Nie liczyłaś?

— Czy oddałeś mi pod rachunkiem?

— Nie było czasu Wandziu, a teraz każ sobie przynieść mój kuferek, ja przyjdę i spakujemy.

— I ty sam powieziesz? A jeśli cię złapią?

— Nie sam, bo z Kolą i naczelnikiem, a złapać się nie dam.

— O brat pani przebiegły — uśmiechnął się Kola — sam naczelnik dopilnuje, aby złota nikt nie dotknął.

— A gdyby pan był go widział wczoraj, jak przemawiał i ten sztandar! — patrzała z uwielbieniem na brata — ale teraz musisz mnie już zabrać do Warszawy. Jestem wtajemniczona i bez mego udziału złoto zostałoby w kasie. Należy mi się nagroda.

— My pracujemy dla idei, nie dla nagrody — zaśmiał się.

— Bez żartów, Władziu... ja tu nie wytrzymam.

— Dobrze, już dobrze... ale nie dziś, napiszę do Stefci.

— Kiedy? Zaraz po przyjeździe, dobrze?

— Na trzeci dzień, uprzedzę ciocię i przyjedziesz — a widząc niedowierzanie dodał — daję ci na to słowo.

— Jakiś ty dobry! — uścisnęła jego rękę.

— Czy Żegielscy wiedzą o kasie?

— Zdaje się, że nie, ale nie wiem, oni ukrywają przedemną różne rzeczy, aby mnie nie gorszyć — zaśmiała się.

— Postępują bardzo słusznie z młodą panienką.

— Tylko proszę cię ty ich nie naśladuj, a znów tak bardzo młodą nie jestem i znam życie — kończyła z powagą.

W czasie objadu zwrócił się Żegielski do szwagra:

— Mówią we wsi, że podobno zrabowano kasę, czy to prawda?

— Najprawdziwsza. Byliśmy obaj świadkami, gdy dano o tem znać naczelnikowi.

— Więc to nie plotka? No, no, tegom się nie spodziewał — poruszył głową, jedząc dalej potrawę — chyba, że nie było żołnierza na warcie?

— Było dwóch i obu związano i zakneblowano.

Żegielski odłożył nóż i widelec i wpatrzył się z obawą w szwagra.

— Mówisz, że związano i zakneblowano?! Ależ to prawdziwy napad. I nie strzelali? A gdzież wojsko, strażnicy, dragoni?

Zgorszona mina Żegielskiego wydała się Koli tak zabawną, że uśmiechnął się mimowoli i rzekł:

— Istotnie napad był dziwnie śmiały wobec piechoty i dwóch secin kozaków w mieście.

— Nawet kozacy byli? Czy schwytano rabusiów?

— Dotychczas nie.

— Ale czy są jakie poszlaki? podejrzenia? Wobec takich napadów nie będzie można mieć chwili spokojnej, to straszne.

— Tak, to okropne — odezwała się żona.

— Kasę rządową skonfiskowała partya — mówił Bal z miną obojętną — zostawiono pokwitowanie z odbioru i sztandar czerwony.

— Nie, ty Władziu chyba żartujesz?

— Sam naczelnik opowiadał nam dzisiaj i jedzie wraz z nami do gubernatora.

— Ależ to koniec świata! — zawołał zgorszony — to był rabunek, a ty nazywasz to konfi-

skatą!? Więc gdy mnie ktoś napadnie i zabierze moją własność, ty nazwiesz to konfiskatą. Gdzież etyka? Gdzie sprawiedliwość?!

Bal spojrzał zimnemi oczyma na szwagra, gdy Wanda zaczerwieniona uporczywie wpatrywała się w talerz.

— Mówmy spokojnie. Rabunek według kodeksu prawnego i etycznego jest to przywłaszczenie sobie cudzej osobistej własności pod grozą gwałtu lub śmierci na swą własną korzyść. Czy zgadzasz się z tą definicyą?

— No tak... zapewne — mówił miększym głosem — jeśli ktoś wychodzi z twego punktu widzenia, można to nazwać konfiskatą. Ależ im się udało! — uśmiechnął się z zadowoleniem — i powiadasz, że kwit dali i sztandar wywiesili? to tam muszą być wściekli!

— Potracili głowy zupełnie — dodał Kola.

— No, no, ależ to odwaga! I jaka to partya, Władziu?

— Polska partya socyalistyczna.

— Więc to nasi! Polacy!... Wiesz, tak między nami mówiąc, nic nie szkodzi, że zabrali kasę. I dużo?

— Dosyć—rzekł Bal niedbale— pół miliona, 47.940 rb.

— Co ty mówisz?! Aż tyle?!.. Ależ to sprytnie bo znam tę kasę, mocna, wmurowana w ścianę... jest tam trochę i moich pieniędzy. Wolę jednak, że nasi z nich skorzystają, a nie rząd.

— Doszliśmy więc do porozumienia — śmiał się Bal — to bardzo mnie cieszy.

— Byle tylko szczęśliwie uciekli — westchnęła Stefcia — bo pewno wysłano w pogoń za nimi.

— Depesze, kozaków, strażników, żandarmów, wojsko, całą machinę despotyczną państwa — śmiał się Kola — a że ciężka i zużyta nie dogoni sprawców.

— Jakto i pan się cieszy? — wyrwało się niechcąco Żegielskiemu.

— Czyż dlatego, że urodziłem się Rosyaninem nie czuję ucisku, krzywdy i tortur waszych i naszych? — mówił z odcieniem żalu.

— Nie chciałem obrazić pana, przecież pan moim gościem — uścisnął mu rękę — ale co za zmiany, co za zmiany!?... Najciężej będzie im jednak ze złotem, a mówił mi kasyer, że złota ma bardzo dużo, a papierów mało.

Przy wzmiance o złocie Wanda niemal, że się nie roześmiała, tak ją bawiła myśl, że ona właśnie przewoziła te ciężkie woreczki.

— Jak sobie poradzą, to już ich rzecz — powiedział Bal obojętnie— mówiłem o zasadzie, wykonanie do nich należy.

Na odjezdnem wspomniał Władysław Żegielskim, że ciotka pragnie widzieć Wandę; podobno są jakieś zamiary matrymonialne.

— To bardzo szczęśliwie — powiedziała Stefcia — Wandzia się nudzi, tu niema stosownej partyi, a dobrzeby było, aby wyszła za mąż, bo różne niepotrzebne myśli roją się w jej głowie.

— Jakież to? — spytał poważnie.

— Ach wiesz, te niezdrowe idee o emancypacyi, socyalizmie, równości itd. itd.

— Zatem Stefciu, za dwa, trzy dni napiszę i wyszlesz Wandzię.

— Dobrze, że mi powiedziałeś wcześnie, bo trzeba to i owo przygotować.

Naczelnik oczekiwał na nich z czarną kawą i likierami, a twarz jego w stosunku do miny, jaką miał rano, była jak zwykle dobroduszna z odcieniem chytrości.

W czasie picia kawy oznajmił naczelnik:

— Nu, zdawało się tej bandzie rabusiów, że puścili końce w wodę, a tymczasem tak nie jest... my już wiemy.

— To bardzo szczęśliwie — uśmiechnął się Bal — taka zbrodnicza napaść nie powinna ujść bezkarnie.

— Ot i pan sam powiada, że to zbrodnia i jest nią istotnie... i my odbierzemy swoje, a im szubienica. Czy nie tak?

— Bardzo słusznie.

Kola patrzał podejrzliwie na naczelnika i aż go podnosiło, aby zajrzeć przez okno, czy kuferek jest na koźle, czy został zabrany? Powstrzymał się jednak i spytał:

— Zatem jest już ich ślad?

— Co tam ślad? Jaki ślad? — śmiał się złośliwie — ot samych zbrodniarzy my już mamy. Oni są w naszej mocy.

— I co to za jedni? — spytał Bal.

— Alboż nie znacie? Toż polska partya socyalistyczna, czysto anarchiści, rabusie. Jednego mam już w areszcie, a dwóch... — przerwał pijąc kieliszek i wpatrując się w swych gości.

Bal spojrzał na zegarek i rzucił obojętnie:

— Kończmy kawę, bo możemy się spóźnić na pociąg.

— Mamy czas — uśmiechnął się naczelnik — toż wysłuchajcie o bandytach.

— Więc tych dwóch... — zaczął Bal.

— Złapali żandarmi w Białymstoku — kończył naczelnik z tryumfem.

— Aż w Białymstoku?! — zawołał już uspokojony Kola.



— To wy Macieju? — zawołał Marceli.

— Ta przeklęta swołocz zabrała się na furmankach, no, ale na dworcu ich przyłapali.

— Czy z pieniądzmi, bo to rzecz najważniejsza dla rządu.

— Co tam rząd, on tego nie poczuje, ale dla mnie, dla mego honoru, ot co!

— Więc są pieniądze?

— Jeszcze nie wiem, przywiozą ich dzisiaj wieczorem, nu, dam ja im!

Bal spojrzał na zegarek i rzekł wstając:

— Spóźnimy się na pociąg.

— Nu, jedziemy... muszę do gubernatora... ot, służba! — westchnął.

Na dworcu naczelnik poszedł do biura telegraficznego, a Bal szepnął:

— Kola, jak sądzisz, czy to ich schwytano?

— Kogo?

— Młota i Marcela?

— Nie wiem... może oni — wskazał oczyma na nadchodzącego naczelnika, który zacierając ręce, uśmiechnął się:

— „Nu, każut, czto z diengamy... Sława Bohu!"

V.

Młot i Marceli wraz z dwoma towarzyszami poszli szybko w kierunku Sosenek, gdzie miały na nich oczekiwać zamówione furmanki.

Z powodu coraz bardziej napływających chmur noc stawała się ciemniejszą i musieli się zcicha nawoływać, aby utrzymać łączność ze sobą.

— Podła noc, choć oko wykól—mruknął Młot potknąwszy się o wybój na drodze.

— Po dniu maszerowałbyś wygodniej między żołnierzami — zażartował towarzysz.

— Ciszej — szepnął Marceli — jeszcze ktoś posłyszy.

Szli dalej, napróżno wypatrując furmanek, w około pusto i ciemno.

— A może zmyliliśmy drogę? — rzekł jeden z towarzyszy.

— Ej, nie — odezwał się Marceli — drogę znam dobrze, tylko taka ćma.

Szli dalej, potykając się, to znów usuwając się w rowy, uderzając się o przydrożne drzewa. Zaparskał koń więc przyspieszyli kroku.

— To wy Macieju? — zawołał Marceli.

— Nie, to ja Bartek — rzekł jakiś głos z ciemności.

— Gdzież wy?

— Stoję z boku na drodze, może się ktoniebądź natknąć.

Przystąpili do wozu, zaprzężonego w jednego konia.

— Cóż się stało z Maciejem?

— Musiał jechać ze strażnikami, on i Wojciech sąsiad.

— A wy w jednego konia?— dziwił się Młot.

— Drugiego dałem Wojciechowi, taka była umowa.

— Dowieziecież nas czterech?

— Przy pomocy boskiej jakoś będzie.

Po krótkiej naradzie zdecydowali się jechać.

Na razie wypoczęty koń po ubitej kolei ciągnął wóz lekkim truchtem, lecz gdy droga stawała się piaszczystą, koń zwolnił biegu i szedł zwolna, jak w pługu.

— Popędzajcież gospodarzu, spieszno nam... dostaniecie na piwo.

Bartek raz i drugi śmignął batem, lecz koń na razy pozostał nieczuły i wlekli się dalej.

— Ileż liczycie gospodarzu do Sokołów?

— Mówią, że będzia trzy, a może i cztery mile, a widzi mi się, że prawda pośrodku.

— A droga dobra?

— Jak miejscami, bywa zła, bywa i dobra, zwyczajnie jak u nas— po chwili dodał: — a wam gdzie?

— Niedaleko Jabłonki budują gorzelnię, tak my za pracą — odpowiedział Marceli.

— To wam nie tędy — wstrzymał konia — trzeba się wrócić i na lewo.

— Jedźcie prosto — nalegał Młot — bo nasze narzędzia są przy tej drodze.

— A gdzie?

— Wiecie, w tym dworze za lasem — rzekł jeden z towarzyszy.

— Hm, to albo we Wilgowie, albo w Terlicach, innego dworu za lasem niema.

— Tak, tak, w Terlicach.

— O to szmat drogi, może rankiem staniemy, bo szkapa setnie zmęczona.

I znów wlekli się krok za krokiem, nasłuchując w stronę miasta, czy nie dosłyszą trąbki, tupotu koni, nawoływania.

Po dwu godzinach takiej jazdy, gospodarz oświadczył, że musi koń odpocząć i zajechał przed gospodę.

— Dużośmy ujechali? — spytał Młot.

— Z miasta liczą bez mała milę, ale od nas mniej... Zejdźcie do karczmy — doradzał — bo z godzinę postoimy.

— Z nas nie są takie bogacze, aby pić i jeść — rzekł jeden z towarzyszy — nam pilno do roboty, aby nas kto nie ubiegł.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Echa nieszczęścia.

Sama chwila wybuchu gazów w kopalniach węgla jest, obok trzęsienia ziemi najstraszniejszą z katastrof żywiołowych, jakich ludzie padają na ziemi ofiarą. Od ognia lub wylewów na powierzchni naszego planety można ratować się jeszcze w ten lub inny sposób. Wobec jednak trzęsienia ziemi, człowiek, ów „pan stworzenia“ jest zupełnie bezsilnym, podobnie jak wobec eksplozyi gazów kopalnianych. Swe ocalenie zawdzięcza wtedy jedynie zrządzeniu Opatrzności, które zwykle, choć niesłusznie, nazywamy „szczęśliwym zbiegiem okoliczności“.

Ze jednak nie znane są nam wyroki Opatrzności, lub, jak kto woli, prawa, jakiemi rządzony jest „szczęśliwy zbieg okoliczności“ — przeto przy katastrofach podziemnych giną na całym świecie co roku tysiące górników, tysiące ludzi zaś ponosi na powierzchni śmierć wskutek trzęsienia ziemi.

O całym szeregu podobnych katastrof pisaliśmy niedawno w „Now. Illustrowanych“, przyczem, jak sobie Czytelnicy przypominają, omówiliśmy katastrofę kopalnianą w Reden, która kosztowała życie blisko 200 górników, codziennie narażających się, niby żołnierze podczas wojny, na śmierć prawdopodobną. I jeżeli chwila wydobywania na powierzchnię ciał zabitych, lub też ocalonych górników jest powodem scen dramatycznych — to i chwila pogrzebu ofiar niemniej jest wstrząsającą. Tu żona żegna wraz z kilkorgiem dziatek swego małżonka i opiekuna małoletnich, tam staruszka, matka stoi niema, zrozpaczona nad trumną jedynaka, co był jej jedyną podporą i przyjacielem, ówdzie siostra żegna się ze zwłokami brata i tym podobnie.

* * *

Jedna z rycin, jakie podajemy w dzisiejszym numerze, przedstawia ponury obraz pogrzebu ofiar w kopalni redeńskiej, pogrzebu katolickiego, jak poznać można z ubioru duchownych. Na drugiej rycinie zaś przedstawioną jest chwila składania do wspólnego grobu trumien ze zwłokami tych, co pracując razem, razem polegli przy wspólnej ciężkiej pracy. Ziemia, która okazała im się macochą w swem wnętrzu, teraz jako dobra matka przyjmuje ich w swe łono.

Królewski dar.

Często bardzo dają słyszeć się narzekania, że w naszych zmateryalizowanych czasach pieniądz stał się bożyszczem, któremu wszystko się kłania i które wszystkiem rządzi. Jest w tem dużo prawdy i to tem smutniejszej, że sposób, w jaki dziś ludzie zdobywają pieniądz, oraz użytek, jaki zeń czynią, nieraz stają w jaskrawej sprzeczności z prymitywnemi zasadami etyki. Źródła wielkich sprzeczności socyalnych, które wzrastając z dnia na dzień, stają się prawdziwą plagą ludzkości, należy szukać w niepomiernym wzroście fortun u pojedynczych osobników, co oczywiście dzieje się ze szkodą reszty ogółu ludzi pracy, a nie geszeftu.



Echa nieszczęścia: Pogrzeb ofiar katastrofy kopalnianej w Reden.

Zdarzają się jednak, chociaż nieliczne wypadki, że osobistości obdarzone wyjątkowymi darami fortuny umieją dobrze ich użyć i wtedy stają się prawdziwymi dobroczyńcami ludzkości, filantropami w najszlachetniejszem znaczeniu tego słowa, ludźmi, których wspomnienie ludzkość przechowuje we wdzięcznej pamięci.

Takim właśnie typem rzadkiego filantropa był świeżo zmarły w Paryżu bankier Daniel Osiris, który połowę swojego majątku, wynoszącego 50 milionów franków — suma nawet na bogatą Francyę bardzo poważna — zapisał instytutowi Pasteur'a, kierując się myślą, aby ten instytut, który oddał już olbrzymie przysługi całemu światu przez zwalczanie wścieklizny, mógł tem skuteczniej spełniać swoje zadanie. Z drugiej połowy swego majątku przeznaczył tylko nieznaczne stosunkowo legaty dla swych dalekich krewnych, resztę zaś zapisał testamentem, którego jednym z egzekutorów mianował b. prezydenta republiki, Loubeta, na cele humanitarne lub popieranie sztuki.

Daniel Osiris Ifla, urodzony z biednych rodziców w Bordeaux, izraelitów, w 1825 roku, przybył do Paryża i w słynnym domu bankowym Mirès'a swoją niesłychaną pracowitością zdobył wkrótce poważne stanowisko. Już w latach 50-tych był człowiekiem bogatym. Dopiero jednak wówczas, gdy wycofał się z właściwych interesów, fortuna jego zwiększyła się raptownie skutkiem szczęśliwego lokowania kapitałów, a także i skromnego trybu życia, jaki od śmierci swej młodej żony zachował. Jedynym zbytkiem, na jaki sobie przy swoich olbrzymich dochodach pozwalał, było zbieranie dzieł sztuki z czasów Napoleona III go, które po śmierci przekazał rządowi francuskiemu.

Wśród innych hojnych darów, jakie za życia poczynił, wspomnieć należy nagrodę w kwocie 100.000 franków, rozdzielaną co trzy lata przez Akademię francuską za wybitne zasługi położone na jakiemkolwiek polu, ofiarowanie odrestaurowanego przezeń zamku w Malmaison, gdzie rezydowała cesarzowa Józefina, państwu, zbudowanie synagogi w Paryżu, wzniesienie pomnika słynnemu poecie Alfredowi de Musset, przekazanie na rzecz miasta czterech kamienic w Paryżu i wiele, wiele innych.

W każdym razie był to w świecie finansowym typ rzadki, jakich mu podobnych należy szukać chyba wśród miliarderów amerykańskich, z których kilku, np. Carnegie, hojnie sypie dolarami na cele dobra publicznego, sztuki, czy oświaty.

Z życia Daniela Osirisa przytaczają dzienniki francuskie charakterystyczne zdarzenie. Wybudowawszy przed laty własnym kosztem hiszpańsko-portugalskiej gminie w Paryżu piękną synagogę, zastrzegł sobie fundator prawo umieszczenia w jej portyku tablicy z nazwiskami 10 najsławniejszych żydów. Gmina się zgodziła i po wybudowaniu gmachu od Osirisa nadesłano obiecaną tablicę. Cóż się jednak okazało? Oto listę nazwisk na tablicy rozpoczynał Jezus Chrystus, dalej zaś następowali: Spinoza, Heine, Mendelssohn-Bartholdi, i inni wszystko żydzi, którzy z czasem chrzest przyjęli. Gmina więc zażądała usunięcia tablicy, a Osiris odmawiał. Doszło do procesu i dopiero sąd przyznał słuszność gminie żydowskiej, poczem usunięto oryginalną tablicę.

Ale członkowie tej gminy, jakkolwiek nie przestali żywić wdzięczności dla hojności fundatora, czuli przecież po śmierci Osirisa żal za jego dziwactwa, a podobno krążyły wśród nich pogłoski, iż inicyator osobliwej tablicy, za przykładem wymienionych tam sławnych żydów, przyjął również chrzest, co jednak nie było prawdą.



Echa nieszczęścia: Składanie do wspólnego grobu trumien ze zwłokami górników poległych w katastrofie w Reden.

Dowódzca międzynarodowej policyi w Marokku.

Kwestya marokkańska, która tyle kłopotu sprawiła i sprawia jeszcze państwom europejskim, nie zdaje się dotąd zbliżać ku pomyślnemu rozwiązaniu. Buntowniczy wasal cesarski, a zarazem pretendent do korony, Raisuli, chociaż został po-



Królewski dar: Bankier Osiris, który zapisał w testamencie 50 milionów franków instytutowi Pasteur'a w Paryżu.

bity przez wojska rządowe pod Zinat, zdołał umknąć w góry, skąd znów zagraża spokojowi publicznemu w „państwie najdalszego zachodu“, jak Marokkańczycy zwią swą ojczyznę.

Gdy by to były sprawy czysto wewnętrzne marokkańskie — to w takim razie Europa spoglądałaby na nie zupełnie obojętnie — ale tu chodzi o zagrożony handel europejski, o wystawione na niebezpieczeństwo życie i mienie Europejczyków, zamieszkujących przeważnie miasta portowe w Marokku. Fanatyzm bowiem, podniecany przez Raizulego wśród swoich współwyznawców, każdej chwili może wybuchnąć z siłą żywiołową, a ofiarą jego padną cudzoziemcy.

Konferencya narodowa w Algeciras, zwołana w roku ubiegłym, nie może poszczycić się zbyt wielkimi wynikami, przynajmniej jednak uchwaliła reorganizacyę policyi marokkańskiej w miejscowościach nadbrzeżnych, nad którą obejmą dowództwo oficerowie francuscy i hiszpańscy pod naczelną komendą inspektora generalnego, szwajcarskiego pułkownika Arminiusza Müllera, już jednogłośnie potwierdzonego w tej godności przez państwa, co w Algeciras naradzały się nad sprawami marokkańskiemi. Szwajcara wybrano oczywiście dla tego, aby uniknąć kolizyi między interesowanymi, Szwajcarya bowiem, jako państwo ściśle neutralne i zupełnie lądowe, nie może być podejrzewaną, aby przez swego pełnomocnika wywierała jakikolwiek wpływ stronniczy na Marokko.

Nowy inspektor generalny policyi marokańskiej liczy obecnie lat 53, a urodził się w Nidau. W r. 1889 mianowany został pułkownikiem, a zarazem dowódzcą szkoły artyleryjskiej w Biére w kantonie Vaud. Jestto oficer nader wykształcony, człowiek bogaty i w ogóle posiadający wszelkie warunki na to odpowiedzialne stanowisko, na jakie powołany został przez zaufanie mocarstw interesowanych w uporządkowaniu wewnętrznych stosunków marokkańskich. Podobno jedynie Niemcy, w myśl swojej dotychczasowej polityki, dążącej do zupełnie innych celów, niż polityka mocarstw w odniesieniu do Marokka, sprzeciwiły się nominacyi pułkownika Müllera, lecz i tym razem także przegrały sprawę, jak i na konferencyi w Algeciras, gdzie pragnęły zepchnąć na drugi plan Francyę, a same objąć rolę głównego kierownika w sprawach marokkańskich, mając na oku wyciągnięcie stąd politycznych i handlowych korzyści.



Dowódzca międzynarodowej policyi w Marokku
Pułkownik Arminiusz Müller.

Pożar kawiarni Drobnera.

Któż nie znał w Krakowie kawiarni Drobnera na plantach u wylotu ulicy Szczepańskiej? Odwiedzali ją przejezdni, bywali w niej stale Krakowianie, spędzając chętnie i przyjemnie długie wieczory na koncertach codziennych przy kolacyi. Bo też ten pawilon restauracyjny „pod Bronowiczanką“ ściągał tłumy publiczności nietylko dlatego, że miał co wieczór dobrą muzykę, ale przedewszystkiem dlatego, że nigdzie indziej nie ma w mieście sali tak dużej, a zarazem wysokiej i dobrze wentylowanej, oraz oświetlonej jasno elektrycznością, jak w biały dzień. Nadto wnętrze tej hali oszklonej sprawiało wrażenie sympatyczne, dzięki pełnej prostoty ornamentacyi w stylu swojskim, według projektu znanego architekty, prof. Zawiejskiego. Niestety, cały ten pawilon naprzeciw Pałacu Sztuki miał jedną słabą stronę: był z drzewa, mimo, że znajdował się w śródmieściu, o kilkanaście kroków od Rynku. Więc nie dziw wcale, że skoro w środę popielcową wyniknął tam z niewiadomej przyczyny drobny ogień, nie pomógł ratunek natychmiastowy, bo pożar przybrał groźne rozmiary, szerząc w sąsiedztwie zniszczenie, a w ciągu godziny ze wspaniałej hali pozostała ruina.

Jakkolwiek straż ogniowa o godzinie 3.45 popołudniu przybyła zaledwie w 10 minut po wybuchu pożaru, zastała już w płomieniach i pawilon restauracyjny i dach jednopiętrowej starej kamienicy pod l. 3. przy placu Szczepańskim, należący również, jak popularna kawiarnia do radcy miejskiego Romana Drobnera. Do tego domu właśnie od strony plant dobudowany był drewniany pawilon kawiarni, a w samej kamienicy parter zajmował z jednej strony szynk, z drugiej duży sklep Drobnera z różnymi materyałami palnymi, jak farby, oleje, lakiery, przy którym w podwórzu mieściły się jeszcze znaczne magazyny z benzyną i terpentyną, co wszystko w czasie pożaru stanowiło olbrzymie niebezpieczeństwo dla sąsiednich domów, a między tymi były wszak tak cenne ozdoby śródmieścia i skarby sztuki, jak świeżo odnowiony „stary teatr“ i przeciwległy pałac Tow. Sztuk pięknych. Pierwsze piętro tego domu zajmowało prywatne seminaryum żeńskie dyrektora Preisendanza. Odbywała się tam właśnie nauka, gdy już ogień szerzył się nad sufitami na strychu. Uczenice zaalarmowane, zerwawszy się z ławek, wybiegły w popłochu na ulicę przeważnie bez kapeluszy i bez okryć. Jednocześnie i mieszkańcy oficyn wyrzucali sprzęty z domu przez drzwi i okna, a służba wraz z przypadkowymi przecho-



Fot. W. Lis, Kraków.

Pożar kawiarni Drobnera: Widok od strony placu Szczepańskiego podczas pożaru.

dniami starała się usuwać z hali kawiarni krzesła i stoliki.

Naczelnik straży, p. Nowotny zarządził od pierwszej chwili akcyę w dwóch kierunkach: ugaszenia rozszalałego żywiołu i ochronienia od groźnego niebezpieczeństwa sąsiednich realności. Założono węże do najbliższych hydrantów, a strażacy wdarli się na dachy, puszczając strumienie wody. Nadto porobiono wyłomy w sąsiednich murach i dachach, by przez otwory zalewać ogień. Ogółem przeprowadzono 920 metrów węża, a wody w ciągu godziny spotrzebowano 625 metrów sześciennych. Podczas pożaru pracowała pod dzielnym kierunkiem p. Nowotnego cała straż miejska z pomocą ochotniczej, mając nawet w pogotowiu kolegów z Podgórza, tak, że na strażnicy pożarnej pozostało zaledwie pięciu ludzi na straży. A niesłychanie trudno było odrazu ugasić potężny ogień, szerzący się przy wietrze podczas kilkunastostopniowego mrozu. Tysiące widzów spoglądały z sąsiednich ulic na wspaniały obraz. Wśród płomieni i dymu, oraz kłębów pary wodnej z topiącego się szybko na dachu śniegu, widać było sylwetki strażaków, kierujących wężami (właśnie taką chwilę wyobraża nasza fotografia, zdjęta od strony placu Szczepańskiego o godzinie 4.45) Od plant widać było przez szyby całe wnętrze pawilonu wypełnione czerwonym ogniem. Część pięknego, malowanego sufitu, z którego zwisały lampy łukowe, runęła do środka, zasypując posadzkę hali przepalonemi belkami. Ale straży udało się powstrzymać postęp ognia o tyle, że pozostały ściany wewnętrzne, na których niektóre ozdoby zachowały się niezbyt uszkodzone, jak widać to na naszej fotografii, zdjętej nazajutrz po pożarze. Lustra i szyby popękały w większej części.

W piętrowym domu p. Drobnera nie mogło być mowy o uratowaniu dachu, który spłonął doszczętnie do dna strychu, a szło jedynie o zabezpieczenie sufitów przed uszkodzeniem i zawaleniem. I to się straży udało częściowo, powały nad ubikacyami seminaryum żeńskiego są jednak popękane tak, że nauka nie może się w nich odbywać.

Zresztą woda pozalewała mieszkania i towary ze sklepu Drobnera. Największe niebezpieczeństwo zażegnała straż w porę przez ocalenie podwórza tego domu, gdzie udało się zabezpieczyć nietylko jednopiątrową oficynę, ale co ważniejsza, magazyn łatwo palnych materyałów. Ciasny ten dziedziniec sfotografowaliśmy również nazajutrz po pożarze. Widać tam jeszcze porozrzucane sprzęty i ów grożący wysadzeniem całego sąsiedztwa w powietrze magazyn z terpentyną, benzyną itp. Czarne kropki na śniegu na dachach, to ślady pożaru, który stał się wypadkiem dnia dla Krakowa, a przy którym nasza straż dała dowód wielkiej sprawności i wyćwiczenia.

* * *

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że popularny w Krakowie twórca najpiękniejszych w mieście naszem budowli, profesor Jan Zawiejski, postanowił odbudować drewniany pawilon z halą restauracyjno koncertową dla kawiarni Drobnera w taki sam sposób, jak wyglądała ona przed pożarem.



Fot. W. Lis.

Pożar kawiarni Drobnera: Zniszczona hala restauracyjna »Drobnerionu« po pożarze.

Wybory do Dumy.

Nadzieje, jakiemi cała Rosya wraz z związanemi z tem państwem ludami ożywiły się po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego, prysły jak bańka mydlana. Gorączkowo odbyły się wybory do pierwszego rosyjskiego parlamentu i z niecierpliwością oczekiwało całe społeczeństwo wyniku jego obrad. Sprawiedliwość nakazuje zaznaczyć, że chociaż sfery miarodajne odnosiły się mniej jak przyjaźnie do tego niesłychanego w dziejach samowładnej Rosyi urządzenia — to i sama Duma okazała się niezbyt zdolną do realnej pracy. Mówcy jej rozpływali się w gwałtownych mowach, ale do praktycznych uchwał nie przyszło. Ponieważ zaś t. zw. „kadeci“, stronnictwo antirządowe, stanowili w tej pierwszej Dumie olbrzymią większość, przeto rząd, korzystając z tej okoliczności, rozwiązał ją bez wielkich ceremonij.

Nastąpiły czasy reakcyjnego terroru, skierowanego głównie przeciw „kadeckim“ posłom, z których niejeden wygnaniem, więzieniem, odebraniem możności kandydowania do następnej Dumy itd., odpokutował za swe liberalne przekonania.

Polacy, wyszkoleni uciskiem rządów absolutnych w ciągu prawie pół wieku, zachowywali się bardzo poprawnie w Dumie, lecz bez zapału i optymizmu brali udział w jej obradach. I dobrze się stało, bo nie ma nic przykrzejszego, czy to dla pojedynczego człowieka, czy dla społeczeństwa, jak znaleść się wobec zawiedzionych nadziei. Pomimo tego poprawnego zachowania się Polaków, spadł na Królestwo stan wojenny, wraz ze sądami polowymi, wywołującymi te wszystkie okropności, których same opisy zgrozą przejmują.

Znaczną była liczba pessymistów, którzy przewidywali, że „premier“



Fot. W. Lis w Krakowie.

Pożar kawiarni Drobnera: Po pożarze widok dziedzińca domu Drobnera z magazynem materyałów łatwopalnych, które groziły największem niebezpieczeństwem.

Stołypin postara się o to, aby konstytucya obowiązywała nadal tylko na papierze. A przecież stało się inaczej. Rozpisano wybory do nowej Dumy, co do losów której sądy są podzielone.

Jedni spodziewają się po niej, iż nie wstąpi w ślady swej poprzedniczki, inni znów przeciwnie twierdzą, że nowa Duma mało co się będzie różniła od dawnej. Ta opinia, wnioskując po wyniku prawyborów, zdaje się mieć więcej racyi, chociaż trzeba spodziewać się pewnego wzmożenia się liczby posłów, należących do prawicy. Do chwili, gdy piszemy te słowa, znanym jest wynik 5 778 prawyborców II-go stopnia. Z tej liczby przypada na monarchistów 1.382, na umiarkowanych 881, na lewicę 2 429, na narodowców 481, na bezpartyjnych 384, na nieznanych ze swych zapatrywań 241.

Jak wypadną wybory w Królestwie Polskiem, z dokładnością nie da się przewidzieć. To jedno jest pewnem, że i tam nastąpią znaczne zmiany, przy wyborze posłów w porównaniu z ostatnim wyborem, gdyż stronnictwa ugrupowały się odmiennie, niż rok temu, a wszechpotężni dotąd narodowi demokraci dużo stracili na wpływach i znaczeniu.



Wybory do Dumy: Jeden z lokalów wyborczych w Petersburgu.

Dzieci dla dzieci.

W niedzielę 10 bm. odbyło się we Lwowie w sali „Sokoła“ przedstawienie na rzecz funduszów „Związku rodzicielskiego“. Przedstawienie to urządzone zostało siłami wyłącznie dziecięcemi; prócz koncertu, na którego program złożyły się deklamacye, monologi, produkcye muzykalne, odegrano jednoaktowy obrazek sceniczny p. t. „Bratki“, napisany przez inżyniera Fr. Barańskiego. Osobami, występującemi w sztuce p. Barańskiego były rozmaite kwiatki, jak niezabudki, konwalijki, bratki, dalej wiatr Zefirek, allegoryczna postać „Wiosny“, a przedstawiały je dzieciaki, ukostyumowane odpowiednio. Role swe oddali młodzi artyści doskonale, deklamując z wielkiem przejęciem się i uczuciem. Warto było słyszeć ten serdeczny, miły szczebiot, rozlegający się ze sceny, warto było widzieć zapał, z jakim dzieciaki „kwestye“ swe wygłaszały. To też audytoryum„ złożone przeważnie z rówieśników „artystów“, było zachwycone i nie szczędziło objawów zadowolenia.



Dzieci dzieciom: Prezes »Związku rodzicielskiego« dr Jan Dylewski, wiceprezydent apelacyi we Lwowie.

Najważniejsze zaś to, że przedstawienie dziecinne przyniosło piękny dochód i powiększyło fundusze tow. „Związek rodzicielski“, którego sympatyczna i pożyteczna działalność musi się ze względu na szczupłe środki materyalne bardzo ścieśniać. „Związek rodzicielski“, założony we Lwowie w r. 1897, wziął sobie za zadanie opiekę nad ubogą dziatwą szkolną w godzinach popołudniowych, kiedy ta dziatwa narażona jest najbardziej na zgorszenie i złe wpływy. W tym celu urządza corocznie w miesiącach zimowych „domy opieki“ w budynkach szkolnych, gdzie najbiedniejsze dzieci, nie mające częstokroć nawet ciepłej izby i odpowiedniego światła, pozbawione nieraz ciepłej strawy, zbierają się w godzinach popołudniowych, odmawiają zadane lekcye, spędzając czas na lekturze pożytecznych książek, a nadto otrzymują ciepły podwieczorek. W ostatnim roku utrzymywał „Związek rodzicielski“ 14 takich domów, tuląc w nich około 2.000 dziatwy. Po za tą działalnością etyczną, pedagogiczną i humanitarną, jednem z pierwszych zadań „Związku“ jest troska o fizyczne wychowanie młodzieży. Kierunek ten pracy towarzystwa ujawnia się w urządzaniu wycieczek i zabaw dla młodzieży. Oczywista rzecz, że dążeniem „Związku“ jest też rozbudzić wśród młodzieży uczucia patryotyczne.

„Związek rodzicielski“ w ciągu 10-letniej działalności skupił w swem łonie około 900 członków. Liczba to poważna, ale w stosunku do potrzeb towarzystwa, w stosunku do szlachetności zadań i celów, stanowczo za mała.

Na czele jego stoi od wielu lat jako prezes dr. Jan Dylewski, wiceprezydent apelacyi we Lwowie.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret p. Dylewskiego oraz zdjęcie fotograficzne grupy dziatwy, która brała udział w ostatniem przedstawieniu na rzecz „Związku rodzicielskiego“. W środku inżynier Franciszek Barański, znany powszechnie przyjaciel dziatwy i niezrównany aranżer jej zabaw. P. Barański napisał wiele powiastek i sztuczek dla dzieci, między innemi przedstawioną w „Sokole“ sztuczkę „Bratki“. On sam też zajął się jej przygotowaniem i wyreżyserowaniem, on sam ułożył do niej miłą muzykę.



Fot. umyślnie dla »Now. Ill.« N. Lissa, nadw. fot. we Lwowie.

Dzieci dla dzieci: Grupa uczestników przedstawiona w Sokole lwowskim na rzecz »Związku rodzicielskiego«.

Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów

przez M. Walter

8 B. Felicyan tłomaczył z angielskiego

(Ciąg dalszy).

Joanna wróciła z doniesieniem, że panny Lynn niema nigdzie w zakładzie. Stuart, nie oglądając się na doktora, rozkazująco zwrócił się do Joanny.

— Proszę mnie natychmiast zaprowadzić do pokoju panny Lynn.

Tyle było siły w tym rozkazie, że Joanna, nie czekając, co kto na to powie, wybiegła a za nią pospieszył Stuart.

Rozejrzał się dokładnie we wskazanym sobie pokoju.

— Proszę dobrze się przypatrzyć, czy nie brakuje tu którego z ubrań panny Lynn.

— Niema kapelusza i płaszcza — odpowiedziała Joanna — a były na wieszadle.

Dr. Burton, który chwilowo osłupiał ze zdumienia, zjawił się także w pokoju swej pacyentki a oddaliwszy Joannę, zapytał gniewnie:

— Co to wszystko ma znaczyć? Żądam wyjaśnienia. Czy dr. Austin pana tu przysłał? Czego policya szuka u panny Lynn?

— Dr. Austin nie przysłał mnie wcale — rzekł Stuart poważnie. — Ten zacny człowiek nawet nie przeczuwa zapewne, jakie podejrzenia ciążą na jego pupilce. Zdaje mi się, że pańska pacyentka uciekła. Czy ona nie była pod dozorem?

— Nie było potrzeby. Mówiłem już, że jest zupełnie zdrową na umyśle, a jedynie rozdrażnienie nerwowe jej dokuczało. Tacy chorzy nie zostają pod dozorem i mogą swobodnie chodzić po zakładzie, a nawet wychodzić z niego.

— A więc uciekła! — zawołał Stuart. — Przepraszam, że pana niepokoiłem. Do widzenia, panie doktorze.

To rzekłszy, oddalił się Stuart z zakładu szybko i wypadł na ulicę. Stanął bezradny, zły, zakłopotany.

— I znowu zniknęła! — myślał z goryczą — a już byłem tak blisko celu!

* * *

Leonora opuściwszy zakład, wsiadła do pierwszej napotkanej karetki i kazała się obwozić, jak osoba chcąca użyć ruchu, a nie mogąca wiele chodzić. Myślała, co teraz robić? Wyjechać z Chicago nie podobna, bo niezawodnie na wszystkich dworcach czatuje na nią policya. Znajomych nie ma, prócz Kate Scaton, więc niema się u kogo schronić. Mimowoli rzuciła okiem na książkę inseratową, zawieszoną w karetce. Machinalnie zaczęła ją przeglądać.

Wpadł jej w oczy anons jakiejś byłej śpiewaczki operowej, która udziela lekcyj śpiewu i sposobi młode panny do sceny.

To jej się uśmiechnęło.

Pomyślała sobie, że jej w takim zakładzie nikt nie będzie szukał. Tam postanowiła się schronić — tam kazała fiakrowi się zawieść.

Karetka zatrzymała się w bocznej uliczce, przed domem skromnym, przylegającym do ogrodu. Nad drzwiami był napis: „Szkoła śpiewu panny Harris“.

Leonora zadzwoniła, we drzwiach ukazała się kobieta około lat pięćdziesięciu.

Znać było jeszcze, że kiedyś była piękną. Dziś miła, sympatyczna, uprzejma.

— Czy mogłabym się widzieć z panną Harris? — zapytała Leonora.

— Proszę, ja jestem.

— Przybywam tu wskutek anonsu pani.

— A, proszę pani, bardzo mi przyjemnie.

Zaprowadziła Leonorę do saloniku, mającego wszystkie cechy aktorskiego nieładu i aktorskiej fantazyi. Dużo szychu, dużo świecideł, mało smaku i powagi.

— A więc czytałaś pani mój anons? Czy pani chce do sceny się sposobić?

— Tak pani. Chciałabym zostać śpiewaczką, oczywiście, jeżeli pani uzna, że posiadam głos i zdolności zarówno muzykalne jak i sceniczne.

— To można prędko ocenić — rzekła panna Harris uprzejmie.

Widząc dziewczynę piękną, o postawie prawdziwie uroczej, inteligentną, skromną, dobrze wychowaną, co od pierwszego rzutu oka poznała, ucieszyła się stara śpiewaczka takim nabytkiem.

Obliczyła odrazu, jakie korzyści mieć będzie z takiej kandydatki do sceny. Niezwykła jakaś kandydatka! Więc z największą słodyczą rozmawiała z Leonorą:

— Czy mogę prosić o podanie mi nazwiska?

— Jestem Lena Voss.

— Czy pani życzy sobie zaraz rozpocząć naukę?

— Tak, skoro tylko znajdę jakie umieszczenie. Jestem tu zupełnie obcą, więc nawet nie wiem, przy kim zamieszkać bym mogła. Obawiam się trafić nie na swoje towarzystwo. Sierota, bez przyjaciół i znajomych, potrzebowałabym też życzliwej rady i opieki. Posiadam wprawdzie dostateczne zupełnie fundusze, może nawet więcej niż mi potrzeba, ale przyjaciół za pieniądze nabyć nie można...

Mówiła to szczerze, bo stara śpiewaczka wydała je się bardzo sympatyczną i uczuła do niej jakiś serdeczny pociąg.

— Jeżeli tylko pani pozwoli, to najchętniej usłużę ci radą i opieką.

— Przedewszystkiem muszę powiedzieć, kim jestem. Sierota, posiadam dość znaczny majątek, od którego pobieram regularnie procenta. Po śmierci rodziców wyznaczono mi opiekuna. Człowiek to zły, dokuczliwy. Uparł się, aby mnie wydać za swego syna, który mi był wstrętny. Opiekun czyhał na mój majątek i chciał nim siebie i syna swego wzbogacić. Gdy stanowczo odmówiłam, tak mi dokuczał, tak po prostacku ze mną się obchodził, że musiałam uciec i ukryć się w Chicago.

— Dobrze pani uczyniłaś.

— Otóż opiekun będzie mnie pewno szukał, ścigał. Chciałabym ukryć się przed nim, aby uniknąć prześladowania. Byłabym wdzięczną, gdyby mi pani takie schronienie wskazała.

— U siebie umieścić pani nie mogę, bo nie mam miejsca, ale mam przyjaciółkę w sąsiedztwie, która pani odstąpi wygodny pokój. Tam możesz być zupełnie spokojną i bezpieczną, tam pani nikt szukać nie będzie.

XV.

Na wsi i w mieście.

Dr. Austin siedział przy śniadaniu, popijał herbatę i myślał, kiedy też jego ulubieniec wróci. Przywiązał się do swego imiennika, lubił z nim gawędzić; brakowało mu więc teraz jego towarzystwa.

Przyniesiono mu z poczty dwa listy. Według swego zwyczaju obejrzał kowertę dokładnie, zanim ją rozdarł. Na adresie poznał pismo swego przyjaciela, dra Burtona.

Myślał, że to zwykła relacya o pupilce, więc bez pośpiechu rozdzierał kowertę.

Jakież było jego zdumienie i przerażenie, gdy przeczytał list następujący:

Kochany Przyjacielu!

Oczekuję Cię niecierpliwie. Panna Lynn opuściła mój dom potajemnie, niespodzianie. Zjawił się tu u mnie jakiś młody człowiek, nazwiskiem Jan Jakób Austin i oświadczył, że się chce widzieć z panną Lynn z Twego polecenia. Posłałem po nią, ale zamiast przyjść do poczekalni, nagle zniknęła. Ow młody człowiek powiedział mi wtedy, że jest ajentem policyi, a przybył tu dlatego, że panna Lynn jest posądzoną o popełnienie zbrodni, poczem wypadł jak szalony, zapewne w pogoń za zbiegłą. Sądzę, że jej nie znalazł. Przybywaj!

Twój dr. Burton.

Dr. Austin nie mógł się długą chwilę opamiętać; list przyjaciela wydał mu się prawdziwie bajecznym.

Ocknąwszy się wreszcie, jakby ze sennego marzenia, wziął w rękę list drugi.

Poznał pismo swego imiennika, więc rozdarł kowertę niecierpliwie, spodziewając się tu jakiegoś wyjaśnienia:

Czcigodny Panie!

Domyślam się, że dr. Burton doniesie Panu o mojej wizycie w jego zakładzie, więc poczytuję sobie za obowiązek dodać małe wyjaśnienie. Musiałem być blisko Pana i dlatego udawałem imiennika. Uczyniłem to dlatego, że najżyczliwiej jestem usposobiony dla Pańskiej pupilki. Proszę w imię dobra tej osoby, abyś Pan zachował wszystko w tajemnicy, a wystrzegał się pana Bradmardina, który czyha na życie sieroty. Nie wątpię, że mi Pan wybaczy mistyfikacyę, gdy się sprawa ostatecznie wyjaśni. Jestem ajentem policyjnym, zawsze pełnym czci dla Pana.

Fałszywy Austin.

Uspokoił się nieco tym drugim listem, ale natychmiast zabrał się do wyjazdu. Trzeba było sobie zamówić miejsce w omnibusie, który dowoził podróżnych do najbliższej stacyi kolejowej. Nie czekając służby, biegnie sam, gdy tuż koło domu spotyka człowieka, niosącego pudło na plecach.

— A dobrze, że was spotykam kochany panie Peterkin. Idziecie pewnie do domu, co?

— Tak, panie doktorze, do usług.

— No, to mi oszczędzisz drogi, dobrze?

— Co pan doktor rozkaże?

— Zechciej mi kochany panie Peterkin zamówić miejsce w omnibusie, do pierwszego pociągu do Chicago.

— Z największą ochotą, proszę pana doktora.

— Dziękuję, bardzo dziękuję.

Doktor wrócił do domu a Peterkin spiesznie zdążał ku zajazdowi, którego właściciel był też właścicielem omnibusu.

Ciekawy to człowiek ów Peterkin. Ziawił się tu przed miesiącem, jako domokrążca. Wszędzie było go pełno, wszędzie zawierał znajomości, wszystkim się wysługiwał i usługiwał. Zyskał też sobie sympatyę wielką i zaczął się stawać powiernikiem wszystkich.

Gdy wszedł do gospody, spostrzegł za stołem Jasona Bradmardine, ale udał, że go nie widzi i głośno z progu zawołał:

— Hej, panie Marks, kiedy omnibus odchodzi?

— Za pół godziny — odpowiedział właściciel gospody i omnibusu.

— Dr. Austin prosi, aby zatrzymać dla niego miejsce.

Powiedziawszy to, wybiegł prędko do swego mieszkania i co tchu zbierać się zaczął do podróży. Z małym tobołkiem wrócił do gospody i dla siebie jeszcze zamówił miejsce. W omnibusie zdążali do stacyi dr. Austin, Peterkin, a także i Jason Bradmardine.

Nie bardzo było przyjemnie doktorowi w towarzystwie Jasona, mimo tego zagadnął go od niechcenia:

— Czy pan już zupełnie opuszcza Fairlic?

— O nie — odpowiedział Jason obojetnie. — Ot tak, na kilka dni, mała przejażdżka do miasta. A pan doktor na długo do Chicago?

— O nie, tylko dla konferencyi lekarskiej, a przytem chcę słyszeć wykład sławnego uczonego dra Dardy. Możeby pan także chciał być na wykładzie?

— Prawdę powiedziawszy, to mnie te rzeczy mało obchodzą.

— Szkoda, żałuję bardzo. Towarzystwo pańskie bardzoby mnie cieszyło.

Poczciwy doktor nie był w tej chwili szczerym, bo towarzystwo Bradmardina było dlań wstrętne, ale chciał się jakoś wywiedzieć, po co ten podejrzany człowiek jedzie z nim równocześnie do miasta.

Oczywiście, że podejrzywał go o to, iż zamierza coś niedobrego względem Leonory.

Nie kleiła się rozmowa, więc doktor zaczął czytać dzienniki, toż samo uczynił i Jason. Dojechali do Chicago; wychodzą z dworca. Dr. Austin siadł do fiakra i kazał jechać prędko. Jason wziął drugiego fiakra i kazał mu jechać za pierwszym. Do trzeciego siadł Peterkin i za tamtymi jechać kazał.

Trzeci fiaker przyświadczył z ochotą, że tamtych ani spuści z oka. Był to przebrany Jocellyn, a wiózł sławnego ajenta angielskiego. Franciszka Ferrasa, czyli domokrążcę w Fairlic: Peterkina.

Stuart zawiadomił Jocellyna o wszystkiem, co się stało w zakładzie dra Burtona i zwrócił mu uwagę, że dr. Austin pewnie przyjedzie do Chicago, a za nim podąży też niezawodnie i Bradmardine, aby odkryć schronienie Leonory. I oto Jocellyn został improwizowanym fiakrem, by czuwać na dworcu i albo narzucić się wyczekiwanym podróżnym, albo też za nimi jechać.

Skoro Bradmardine zobaczył, że dr. Austin zatrzymał się przed zakładem dra Burtona, kazał zawrócić i zawieść się do swego mieszkania. Peterkin zdążał za nim niespostrzeżenie i w sąsiedztwie Jasona najął sobie pokój.

* * *

Tymczasem Stuart szukał Leonory, pewien, że się w Chicago ukryła i zaglądał też do pani Arteveldt, która mu wciąż przypominała, aby uwięził morderczynię syna. Spotykał tu często Kate Scaton, przyczem dowiedział się, że między nią i Jocellynem ścieśniają się węzły sympatyi i przyjaźni. Pewnego razu wręczyła mu Kate woniejący liścik i rzekła:

— Panna Laura Durand prosiła mię bardzo, abym panu oddała to pismo, skoro tylko pana zobaczę. Oto jest, A jak pachnie!

— Czy się pani zaprzyjaźniła z panną Durand? — zapytał Stuart biorąc bilet z uśmiechem.

— Właściwie nie, to jest nie wiem, jak się wyrazić, zdaje mi się, żebyśmy przyjaciółkami być nie mogły, bo nasze usposobienia... Znamy się, widujemy, bo Laura przychodzi często do pani Arteveldt, która ją bardzo lubi.

Stuart tymczasem przeczytał list Laury, była tam prośba, aby ją odwiedził jaknajprędzej.

Ciekaw był niesłychanie, czego też ona chce od niego.

Zaraz nazajutrz poszedł.

Na schodach spotkał Duranda; ten mu powiedział o chorobie żony i prosił, aby ją odwiedził, pomówił z nią wesoło, bo ona lubi ożywiające pogadanki. Bardzo chętnie to uczynił, zabawił długą chwilę u Durandowej. Znał ją dobrze, wiedział, że to osoba nerwowa i chorowita, ale nie wyobrażał sobie, aby w ciągu kilku dni tak bardzo zmienić się mogła.

Wyglądała wycieńczona, bezsilna, jakby po przebyciu śmiertelnej choroby.

Stuart rozweselił ile było można cierpiącą panią Durand, a wychodząc rzekł do Duranda, który go na korytarz odprowadził:

— Muszę z panem pomówić o sprawie bardzo ważnej. W tej chwili nie mam czasu, zresztą musimy mówić swobodnie, aby nas nikt nie słyszał. Wkrótce zgłoszę się do pana.

Nie czekając odpowiedzi udał się do Laury. Przywitała go z kokieteryjną uprzejmością. Wyglądała istotnie uroczo; jeszcze nigdy tak piękną nie wydała się Stuartowi.

Była mistrzynią w sztuce podobania się i okazywania swej piękności. Rozmowę zaczęła o rzeczach obojętnych, a potem zeszła na temat tragedyi Arteveldta.

Właściwie powiedziawszy, to dlatego pozwoliłam sobie trudzić pana, aby o biednym Franku pomówić. Pan wie, że łączyła nas istotna przyjaźń. Żal mi go bardzo. Biedny. To następstwa ciągłych jego miłostek.

— Miłostek? powiada pani, a ja sądziłem, że on miał jeden tylko przedmiot miłości. Powszechnie mniemano, że jedynie i wyłącznie pani był oddany. Podobno mu pani odmówiła wzajemności?

— A mój Boże! Co też sobie urojono. Frank kochał się w pewnej osobie, zbliżonej do mnie stosunkami domowymi, czy może zażyłością, jeśli nie przyjaźnią. Matka Franka nie chciała nawet słyszeć o tem, tak była przeciwną skłonnościom syna. Biedny Frank zwierzał się przedemną ze swych utrapień, niekiedy szukał u mnie pośrednictwa, no i z tego powstało mylne przypuszczenie że we mnie się kocha.

— Jeżeli tak, więc to pewnie panna Brown była przedmiotem miłości Franka?

— A jakże pan skory do przypuszczeń. Wszakże nie powiedziałam żadnego nazwiska, a i nie mam zamiaru odsłaniać tajemnicy.

— Więc zostawia mi pani swobodę w domysłach?

— Nie mogę jej zabronić.

— A więc panna Brown...

— O, o, proszę mi nawet nie wspominać tego nazwiska — zawołała Laura jakby z oburzeniem.

— Co się stało? — spytał Stuart niby bardzo zdumiony.

— Oddaliłam ją, musiałam oddalić, chociaż była do mnie bardzo przywiązana.

— A cóż za powód? Wszakże była tak wierną towarzyszką pani.

— Zachowałam dla niej życzliwość, ale oddalić musiałam, bo, bo... Nelly aż do zbytku przepadała za... klejnotami, zanadto się stroiła. Ja przebolałam stratę niektórych kosztowności, ale nie mogłam dozwolić, aby i kto inny na tem cierpiał, więc...

— A gdzież się teraz panna Brown znajduje?

— U swojej ciotki pani Rogers.

— Czy pani zna tę osobę?

— O, wcale nie.

Nastała mała przerwa w rozmowie, poczem Stuart niespodzianie zapytał:

— Czy pani ma pismo panny Brown?

— O, tak, tak — odpowiedziała Laura nieco zakłopotana — mam zapewne gdzieś schowane jej listy.

— Może mi pani raczy dać bodaj mały skrawek rękopisu panny Brown?

— Owszem, chętnie, ale muszę dopiero poszukać, a w tej chwili nawet nie pamiętam, gdzie te listy schowałam.



Stuart podniósł rękawiczkę, pod drzwiami w korytarzu leżącą...

— Niema nic pilnego, jeżeli pani pozwoli, zgłoszę się po nie za dni kilka.

— Przyjmę pana z całą przyjemnością.

Podniósł się, by odejść, w tem wszedł służący z oznajmieniem, że przybyła panna Brown.

— Powiedz, że mnie w domu niema — rzekła Laura, ale zanim służący się oddalił, już panna Brown próg przestąpiła.

— Nie czekałam, co mi powie służący i wchodzę, jak za dawnych czasów — powiedziała z całą swobodą. — A! pan Stuart! bardzo się cieszę, że pana widzę. Czy może przeszkadzam?

— Wcale nie, bo właśnie chciałem się z panną Laurą pożegnać.

Ukłonił się uprzejmie i wyszedł. Już na schodach spostrzegł, że zgubił rękawiczkę, więc wraca i słyszy mimowoli taką rozmowę;

— Czego pani chce?

— Tylko tysiąc dolarów — odezwał się głos panny Brown.

— Co? jeszcze pani chcesz pieniędzy? Kiedyż się to skończy?

Stuart podniósł rękawiczkę, pod drzwiami w korytarzu leżącą, nie słuchał dłużej, uśmiechnął się i szepnął: „O, ty piękna czarownico! Nie uda ci się wywieść w pole Stuarta!“

XVI.

Sennor Castro.

Polecona przez nauczycielkę śpiewu, umieściła się Leonora u jej przyjaciółki pani Horne.

Była to kobieta dobrze ułożona, nawet do pewnego stopnia z wykwintnemi formami towarzyskiemi, co dla Leonory bardzo było pożądane i miłe. Jedno tylko zrażać mogło do niej, a mianowicie, iż zajmowała się kabalarstwem i wróżyła, ale tylko osobom z najlepszego towarzystwa.

Leonora miała tam dwa miłe pokoiki i tę wielką wygodę, że przechodziła przez dziedziniec do mieszkania swej nauczycielki, nie potrzebując pokazywać się na ulicy. Oba domy, chociaż na innych ulicach, stykały się ze sobą dziedzińcami.

Za namową panny Harris sposobiła się Leonora na scenę. Śpiewaczka wiedziała dobrze, jaką będzie miała korzyść, jeżeli osobę tak postawną, i piękną na scenę wprowadzi. Zyski będą i od uczennicy i od dyrektora teatru. Leonora zgodziła się na to i z prawdziwem zamiłowaniem poświęcała się nauce.

Przez kilka tygodni zażywała zupełnego spokoju, oddzielona od świata. Czuła się zdrowszą, niekiedy nawet zupełnie uspokojoną, aż pewnego razu zapragnęła nauczycielka wziąć ją z sobą do teatru. Leonora opierała się temu, lękała się, aby jej nie poznano.

Panna Harris nastawała bardzo, bo to był występ znakomitej śpiewaczki, a więc dla Leonory korzyść wielka. Zapewniała też, że będą miały taką zaciszną lożę, w której nikt ich nie zobaczy, prócz dyrektora teatru. I stało się wreszcie, że poszły na przedstawienie.

Mimo, że nikt ich nie widział z publiczności, naprzeciwko siedział w swej loży nietylko sam dyrektor, ale dwaj nieznajomi panowie i wszyscy trzej nie spuszczali Leonory z oka.

— Kto to tam naprzeciwko? — zapytał dyrektora teatru jeden z jego gości.

— To dawna śpiewaczka, a obecnie nauczycielka śpiewu Harris ze swą uczennicą. Ma to być wielki talent.

— Tak? A gdzież mieszka?

— Co tego, to już nie wiem.

— Szkoda! Gdybym miał jej adres, mógłbym jej pomódz do kształcenia się, a kiedyś wyszukał dla niej znakomite angagement. Może pan sobie teraz przypomni, gdzie mieszka?

— Ależ upewniam, że nie wiem — odpowiedział dyrektor cokolwiek niechętnie.

Zapraszał niekiedy do swej loży bywalców teatralnych, ale nietylko nie ułatwiał im stosunków z personalem teatralnym, lecz nawet ściśle nad tem czuwał, aby jego teatr był tylko artystyczną instytucyą.

Stropiony odmową dyrektora czyhał natrętny ciekawiec na swoje vis à vis i skoro tylko kurtyna zapadła, już dotarł w pobliże Leonory i krok w krok szedł za nią. Panna Harris dostrzegła tę pogoń i dlatego nie odprowadziła Leonory pod dom, gdzie było jej mieszkanie, jeno zatrzymała się przed własnym. Ścigający dowiedział się zatem o mieszkaniu nauczycielki, ale nie uczennicy.

Tak był zajęty pościgiem, że nie spostrzegł, jak za nim uporczywie zdążało dwóch młodych ludzi i dopiero wtedy się zatrzymali, gdy stanął u bramy swego mieszkania. Ci dwaj nie znali się widocznie, bo rozeszli się każdy swoją drogą, nie witając się, ani żegnając. A jednak łączył ich wspólny cel: obaj śledzili Bradmardina, nie wiedząc o tem, każdy z innego powodu. Byli to: Jocellyn i Francis Ferrars.

Przedstawienie w teatrze nie sprawiło jej przyjemności.

Ciąg dalszy nastąpi.

Międzynarodowa szajka włamywaczy.

Wśród publiczności prowincyonalnej w Galicyi znowu, jak przed kilku miesiącami, powstało zaniepokojenie na wiadomość o świeżym wypadku próby włamania się na wielką skalę sprytnych bandytów, tym razem w Stanisławowie. Sprawa przedstawia się w sposób następujący:

W kamienicy p. Byka, gdzie mieści się urząd pocztowy w Stanisławowie, oraz miejscowa filia banku austro-węgierskiego, znajduje się w dużej piwnicy skład jabłek kupca Tellera. Do tej piwnicy przed kilku dniami dostali się złodzieje, którzy zamierzali tędy dobrać się do kantoru p. Kornblüha na parterze, a stąd dopiero pragnęli przedostać się na pierwsze piętro, by się tam włamać do kasy banku austro-węgierskiego. Spłoszyło ich wejście wnoszących do piwnicy jabłka dwóch ludzi, a był to syn Tellera Maks, wraz z posługaczem Diakowem.

Wchodząc, usłyszeli oni podejrzany trzask desek, poczem spostrzegli światło w głębi piwnicy. Teller krzyknął: „złodzieje!“ lecz w tej chwili uczuł nagle uderzenie w skroń, świeca wypadła mu z ręki. Z piwnicy wybiegło czterech barczystych, rosłych ludzi, którzy po drodze wytrącili jeszcze lampę z rąk stróża, nadbiegłego na krzyk Tellera. Żaden z nich nie dał się przychwycić.



Międzynarodowa szajka włamywaczy w Stanisławowie: Aresztowany w pociągu Jan Litwin. (Fot. inżynier Schall).

A tymczasem w piwnicy cegły były już wyjęte ze sklepienia, tworząc w murze otwór dostateczny dla przejścia człowieka nawet otyłego. Deski posadzkowe podziurawiono w licznych miejscach świdrem i właśnie przy tej robocie spłoszono włamywaczy, którzy w piwnicy porzucili różne rzeczy. Znaleziono tedy wytrych, świder centryfugowy, korbowy, dalej nóż stalowy 80 cm. długi do łamania blach stalowych, nadto małą walizkę, torbę na pieniądze, porządne ubrania i szczotkę do czyszczenia, wreszcie 3 zwoje ceraty i pluskiewki do osłony okien podczas nocnej roboty.



Międzynarodowa szajka włamywaczy: Inspektor policyi stanisławowskiej, Wojtasiewicz.

Dano tedy natychmiast znać policyi. Inspektor Wojtasiewicz ułożył zaraz plan działania i rozesłał ajentów. Do miejscowych hoteli udał się z żołnierzami ajent Rattner. W hotelu „Bele-Vue“ dowiedział się, że jeden z gości, który niedawno powrócił nocą do domu, kazał się zbudzić do pociągu stryjskiego. Ajent wiec zapukał do drzwi jego numeru. Z wnętrza zapytał głos półszeptem: „to ty Jasiu?“ Rattner odpowiedział przyciszonym głosem: „to ja...“ Obrót klucza, otwarcie drzwi i żołnierze pochwycili gościa w negliżu, związali go, a Rattner przystąpił do rewizyi. W ubraniach znaleziono zaraz dowody, że nie zachodzi wcale pomyłka. Ajent natrafił na pończochę, w której było 20 świdrów do stali, w torebce znów wcale eleganckiej odkryto cały komplet drobnych narzędzi do włamywania się do kas i t. p. Wreszcie w spodniach znalazł się w kieszeni rewolwer browning, z 8 ostrymi nabojami. Odstawiono niezwłocznie ptaszka na policyę, gdzie sprawdzono, że jest to włamywacz zawodowy Edmund Waśniewski z Królestwa Polskiego.

Następnie udał się Rattner na kolej, licząc na to, że uciekinierzy wsiądą do pociągu na najbliższej stacyi. Intuicya nie zawiodła go, ponieważ zauważył w Jamnicy dwóch podróżnych eleganckich, ale powalanych murem i cegłą. Gdy wsiedli do pociągu ajent z żołnierzami przesiadł się do ich przedziału, a nabrawszy rychło przekonania, że to spólnicy Waśniewskiego, aresztował obu na miejscu, poczem wysiadł z nimi w Jezupolu, żeby z powrotem odstawić złodziei do Stanisławowa. Są to: Jan Litwin i Mieczysław Gottwald ze Lwowa.

Okazuje się, że policya stanisławowska w osobach tych złodziei z kamienicy Byka natrafiła na międzynarodową szajkę włamywaczy zawodowych, którzy przybory do rozbijania kas wozili ze sobą w torebkach skórzanych kosztownych, a ubierali się elegancko i prezentowali się bardzo przyzwoicie. Wszyscy są silni, zdrowi i rośli. Zdaje się, że ich dziełem są liczne w ostatnich czasach głośne kradzieże w Kołomyi, Zborowie itp. Czwarty z nich który zbiegł w kierunku Bohorodczan, ma się nazywać Lewandowski, albo Kossa, albo Gross, albo Strassberger. Złodzieje byliby się w Stanisławowie świetnie obłowili, skoro w samym kantorze Kornblüha było 10 000 kor. gotówki i papiery wartościowe na 100 000 kor.

Korespondent nasz stanisławowski sfotografował na podwórzu więzienia śledczego, dzięki uprzejmości sekretarza Siwińskiego, dwóch z aresztowanych Waśniewskiego i Litwina. Nie zgodził się na odfotografowanie go Gotwald, były właściciel dóbr, ożeniony pono z hrabianką, oświadczywszy, że jest młody, że ma jeszcze przed sobą karyerę itp. Osobna fotografia nasza przedstawia zbiór narzędzi, u nich znaleziony, na następnej zaś widzimy żołnierzy policyjnych, którzy ptaszków aresztowali. Wreszcie podajemy podobiznę inspektora Wojtasiewicza, którego energii zawdzięczać należy przyłapanie niebezpiecznej bandy.

Sposób, w jaki zabierali się do dzieła czterej fachowi kunsztu złodziejskiego na swym gościnnym występie w Stanisławowie — przypomina zupełnie pamiętny wypadek włamania się swego czasu do domu bankowego Jonasa we Lwowie.

Gdyby nie przypadkowe wejście syna handla-



Międzynarodowa szajka włamywaczy w Stanisławowie: Uwięziony w hotelu Waśniewski. (Fot. inżynier Schall).

rza jabłek z parobkiem do piwnicy i przeszkodzenie złodziejom na samym początku ciężkiej ich pracy, byliby Waśniewski, Litwin, Gotwald i ów czwarty, jeszcze nie przyłapany, napewne włamali się do kantoru bankiera Kornblüha, a następnie do kasy Banku austro-węgierskiego.



Międzynarodowa szajka włamywaczy w Stanisławowie: Znalezione w piwnicy pod bankiem narzędzia włamywaczy. (Fot. inżynier Schall).



Międzynarodowa szajka włamywaczy w Stanisławowie: Policyanci, którzy aresztowali włamywaczy, trzymają ich narzędzia złodziejskie (Fot. inżynier Schall).

Kronika tygodniowa.

Dzień, w którym piszemy dzisiejszą kronikę, jest ostatnim dniem wydawania legitymacyj wyborczych w Warszawie. Ci, co się po ich odbiór nie zgłoszą, utracą prawo wzięcia udziału w prawyborach, a więc dobrowolnie pozbędą się korzystania z najważniejszego obywatelskiego zarówno prawa jak obowiązku. To też dzienniki warszawskie wzywają gorąco prawyborców, aby poszli za głosem obywatelskiego sumienia i nie pozostawili wyboru w Warszawie na pastwę losu.

A walka będzie zaciętą, rezultat zaś jej nieprzewidziany. Szanse 2 kandydatów „koncentracyi narodowej“, którzy obaj są narodowymi demokratami, pogorszyły się wskutek kilku okoliczności. Naprzód rozporządzenia rządowe pozbawiły prawa wyborczego paru tysięcy dawnych prawyborców, przeważnie chrześcian. Następnie część znaczna socyalistów stanie obecnie do urny (przy pierwszym wyborze socyaliści bojkotowali wybory) a ta część naturalnie nie odda głosu kandydatowi koncentracyi. Wreszcie wszelkie usiłowania zażegnania walki wyznaniowej nie powiodły się. Przedewszystkiem więc prawyborcy rozdzielą się na żydów i chrześcian. Według wszelkiego prawdopodobieństwa chrześcian przy urnie stanie 24,000—26.000, żydów 16 000—18 000. Przewaga chrześcian nic tu jednak nie stanowi, gdyż żydzi z małym wyjątkiem pójdą solidarnie, a znaczna część chrześcian powiększy ich zastępy. Znający wyborne stosunki warszawskie twierdzą, że po stronie koncentracyi narodowej staną demokraci narodowi w liczbie 9 — 10 000, bezpartyjni w takiej samej ilości, polska partya postępowa, nie licząca więcej jak 1.000—1.500 wyborców, realiści (konserwatyści) w takiej samej liczbie i garść inteligencyi żydowskiej, pragnąca zaznaczyć swą łączność z większością polskiego ogółu. Razem wziąwszy na listy „koncentracyi narodowej“ może paść głosów 23—26.000. Na listę zaś tak zw. postępową, głosować będą prawie wszyscy żydzi, tak polscy, jak rosyjscy „litwaki“ (jest ich między prawyborcami przeszło 3.000) tak chasydzi, ortodoksi, a więc najkonserwatywniejsi, jak syoniści, umiarkowani, postępowi i radykalni bundziści. Do tych mniej więcej 17 000 żydowskich głosów przyłączą się głosy socyalistów i postępowej demokracyi, co razem stanowić będzie koło 2.000 głosów. Gdyby zaś przyłączyły się i głosy socyalistów — to blok ten rozporządzałby 21—22 tysiącami głosów.

Ilość głosów jednak nie decyduje tu absolutnie bo wybory odbywają się okręgami, czy zatem w okręgu z przeważającą znacznie ludnością żydowską wyborcy wyjdą 3 ma czy 5 ciu tysiącami głosów, to rzecz obojętna; obojętną jest również rzeczą, czy w okręgu wyłącznie prawie chrześcijańskim stanie przy urnie o tysiąc mniej lub o tysiąc więcej prawyborców, bo w pierwszym z tych okręgów zawsze wyborcami zostaną żydzi lub demokraci postępowi, a w drugim zawsze przejdą kandydaci koncentracyi narodowej. Właściwa walka, od której zależy rezultat wyborów, odbędzie się w okręgach mieszanych, w których ludność chrześcijańska stanowi jakie 55 do 65% wyborców. W takich okręgach setka głosów może przeważyć szalę, a stąd wytworzyło się takie położenie, że gdyby Rosyanie nie stawiali swych kandydatów, a przechylili się na jedną ze stron walczących, mogliby może w którymś z okręgów stać się „języczkiem u wagi“.

W takich warunkach łatwo zrozumieć, że stoimy przed wielką nieświadomą, a to podnosi ogólne zainteresowanie się wyborami warszawskiemi. W razie zwycięstwa koncentracyi wyjdą z urny pp.: Roman Dmowski i Franciszek Nowodworski, w razie zaś zwycięstwa koalicyi postępowców z żydami, wyjść mogą albo Aleksander Świętochowski i Ludwik Krzywicki, albo też dwaj... nieznani. Sytuacya bowiem jest taka, że o ile Dmowski i Nowodworski mają zapewnione wejście w skład 80 wyborców, o tyle nie wiadomo jeszcze, czy w ten skład wejdą obaj kandydaci demokracyi postępowej (każdy może być wybrany tylko w okręgu, w którym mieszka). Gdyby więc ci kandydaci, pomimo zwycięstwa koalicyi postępowo-żydowskiej nie znaleźli się w gronie wyborców, zwycięscy musieliby innych z pośród siebie postawić kandydatów. Na ten wypadek nie jest niemożliwem, że Warszawę w Dumie reprezentować będą ludzie, o których nikomu ani się śniło. Wymieniają n. p. nazwiska rabina Poznańskiego, redaktora „Ludzkości“ Kempnera itd.[1])

Jak niespodzianką może być wybór w Warszawie, tak niespodzianką, ale tym razem radosną, był rezultat prawyborów w Wilnie, który zapewnił wybór Polaka, adwokata Węsławskiego, na posła stolicy Litwy. Przed rokiem gród Gedyminów i Witołdów reprezentował rabin rządowy p. Szmarya Lewin. Tę szczęśliwą zamianę zawdzięcza Wilno nie jakiejś nadzwyczajnej różnicy w ogólnej liczbie oddanych głosów, ale właśnie systemowi okręgów wyborczych. Udało się Polakom uzyskać małą przewagę w dwu okręgach, w których również drobną większością przeszła w r. z. lista żydów rosyjskich. Dla „istinno russkich“ ten rezultat musi być niewymownie bolesny. Tak tryumfowali w roku zeszłym, tak wołali: gdzież to „polskie“ Wilno? A tymczasem pokazało się, że jest ono polskie, że tylko potrzeba było trochę więcej agitacyi, trochę więcej solidarności, aby zaświadczyć przed światem, że stolica Litwy, tej Litwy, coś wydała Polsce Kościuszkę i Mickiewicza, chce być polską, jest i będzie polską.

Że się to nie podoba istinno russkim, to pewno, ale jak to przyjmą „kadeci“ i inni postępowcy rosyjscy? I w ich zadowolenie z tego wyboru nie bardzo wierzymy, choć nie tak dawno tyle czułych słów nam rzucali. Zresztą może nie zauważą nawet tego faktu, wobec radości, jaka ich napełnia. Zwycięstwo bowiem kadetów i wogóle partyj postępowych przy wyborach do Dumy zdaje się być zapewnione. Ku rozpaczy p. Stołypina skład nowej Dumy nie o wiele będzie się różnił od składu starej. Tylko zdaje się, że „kadeci“ znacznie zmądrzeli, że nie będą się chwytali utopij, ale nauczeni doświadczeniem będą więcej praktycznie brali się do wywalczania dla Rosyi podstaw prawdziwej wolności. Czeka ich jednak ciężkie zadanie, bo chcąc się utrzymać na stanowisku umiarkowanem będą mieli przeciw sobie zarówno reakcyę jak żywioły rewolucyjne. Z naszego stanowiska cieszyć się z tego należy, bo powodzenie kadetów w pierszej Dumie wbiło ich w zarozumiałość; zaczęli też nas traktować z góry, wymagając, abyśmy byli ich „wiernymi poddanymi“ — nie sprzymierzeńcami a zaciężną armią posiłkową, słuchającą rozkazów głównego sztabu. Dziś rzeczy się zmieniły. Pozostawieni sami sobie, muszą kadeci szukać sprzymierzeńców i jednać ich dla siebie nie czczemi frazesami, ale czynami. Kilkudziesięciu posłów polskich, idących solidarnie, to siła, o której pozyskanie starać się warto. A że w polityce nic za darmo, więc powiemy grzecznie: nóżki na stół, bo inaczej kwita z przyjaźni. A te: nóżki na stół, to znaczy: autonomia.

Kiedy ją dostaniemy i w jakim zakresie, to się nie da przewidzieć. Ale przyjść ona musi, bo to naturalny bieg rzeczy. Przeciwnicy jej w Rosyi powoływali się na to, że nawet Anglia nie daje autonomii Irlandyi. Obecnie i to powoływanie się straci racyę bytu, bo oto król Edward, otwierając angielski parlament zapowiedział załatwienie homerulu, a Birelli, sekretarz stanu dla Irlandyi, oświadczył, że autonomiczna Irlandya „wzmocni potęgę Wielkiej Brytanii i stanie się jej dumą“.

Mniejszem powodzeniem cieszy się w Anglii sprawa równouprawnienia politycznego kobiet. Już przed 60 laty słynny John Stuart Mil przemawiał gorąco za tem, aby kobietom udzielić prawa głosowania i wyboru. Ale głos jego nie został wysłuchany i żadna Angielka jeszcze z mównicy parlamentarnej nie rządzi państwem angielskiem. To zbyt długie oczekiwanie sprzykrzyło się niewiastom Albionu, a widząc, że silne domaganie się o prawa niejednokrotnie wydaje pożądany rezultat, postanowiły przejść na drogę czynu i rozpocząć szereg demonstracyi. 800 płowowłosych i długonogich Angielek przypuściło przed tygodniem szturm do bramy izby gmin, ale napad ten odparła zwycięsko policya piesza i konna. Obeszło się wprawdzie bez ofiar „w kobietach“, ale 30 buntowniczek aresztowano i natychmiast zasądzono każdą na 40 szylingów kary, lub miesiąc więzienia. Wrodzona płci pięknej oszczędność zwyciężyła — żadna nie chciała otworzyć portmonetki. Zaczęły więc odsiadywać karę, a przypuszczać należy, że sędziowie i nadzorcy więzienia jako mężczyźni, a więc gatunek ludzi znany z uprzejmości dla dam, postarają się tym ofiarom męskiej niegodziwości osłodzić cierpienia więzienne. Chyba, że te damy są stare i brzydkie lub, że pomiędzy sędziami i nadzorcami znajdują się ich... zięciowie. W takim razie nie odpowiadam, ani za ich przyjemny pobyt w murach więziennych, ani nawet za wikt im podawany. Wtedy mogę nawet przypuszczać, że pieczywo dla nich sprowadzane będzie ze Lwowa.

Bo trzeba wiedzieć, że lwowskie piekarnie cieszą się obecnie wielką sławą na całej przestrzeni naszej ojczyzny galicyjskiej od Białej po Zaleszczyki. Magistrat lwowski przeprowadził rewizyę w 114 piekarniach i zdaje sprawę z tego, co widział w 83 większych, pomijając tak pozostałe 31, jak i 300 piekarń pokątnych, będących siedliskiem najwstrętniejszego niechlujstwa. Z pomiędzy tych „większych“ piekarń w 32 stoły, koryta, dzieże, maszyny do krajania ciasta itd. były w stanie urągającym wszelkim przepisom hygienicznym. O tem, że wynaleziono spluwaczki, wie zaledwie 19 piekarzy. Tylko w 20 piekarniach robotnicy siedzą i śpią na ławkach — w innych służą im do tego celu wory z mąką i stoły, na których się wyrabia ciasto. Wynalazek umywalni znany jest tylko 26 piekarniom; 60 nie posiada urządzeń wentylacyjnych; 21 mieści się w suterenach; w 39 podłoga i ściany znajdują się w stanie ostatniego niechlujstwa. Jeżeli takie stosunki panują w piekarniach „pierwszorzędnych“, cóż za obraz muszą przedstawiać piekarnie drugorzędne. Magistrat lwowski wstydzi się nawet o nich wspominać. A ty biedny, opodatkowany i ododatkowany obywatelu jedz pieczywo z takich „fabryk“ pochodzące i marz o zdrowiu i długiem życiu.

Nie marzy o niem zapewne hr. Witte, bo mu chciano je skrócić za pomocą dwu maszyn piekielnych. Tylko co do tego zamachu można mieć pewne poważne wątpliwości. Obie maszyny piekielne znaleziono w piecu, a obie owinięte były płótnem zupełnie czystem, a więc ich nie spuszczono kominem, lecz ładnie, grzecznie włożono do pieca, pomimo, że hr. Wittego strzeże legion policyantów. Co więcej, oba te śmiercionośne instrumenty, jak się okazało, nie posiadały wielkiej siły wybuchowej, a przecież na „grubego zwierza“ nikt nie wychodzi z pistoletem lub scyzorykiem. Sceptycy przeto podejrzywają, że cały zamach jest sobie zwyczajną reklamką, której potrzeba było hr. Wittemu, jako kandydatowi na męża opatrzności.

Bez zamachu utraciła Rosya jednego z największych swoich synów, europejskiej sławy, chemika Mendelejewa. Na drugim końcu Europy zmarł sędziwy poeta włoski Carducci, kolega Sienkiewicza „po Noblu“. Śmierć zabrała i ks. Klementynę koburską, która nie żałowała swych wpływów i pieniędzy, aby głowę syna swego przyozdobić dość marną koroną bułgarską.

Zdawało się, że wypadnie w tym tygodniu poświęcić wzmiankę pośmiertną i Luegerowi. Ale „nie dał się“, jest podobno na drodze do wyzdrowienia. O chorobie jego z dnia na dzień podawały nasze dzienniki cały szereg biuletynów — wiedzieliśmy każdej chwili, jak się mają pojedyncze jego organy, kiedy „sam prosił o zupę i o kawę“ itd., itd. Takich biuletynów nie było ani o Carduccim, ani o Mendelejewie — znacznie mniejsze były o Ibsenie. Nie przypominamy sobie również, aby którakolwiek z naszych znakomitości, które zmarły w latach ostatnich, jak np. Siemiradzki, Smolka, Ziemiałkowski, Klaczko, zasłużyła sobie na takie zajęcie się nią, jakiem obdarzyła nasza prasa burmistrza wiedeńskiego. Jest to zapewne osobistość wpływowa i dość głośna, zwłaszcza przez swój antysemityzm, ale bądź co bądź, wielkość to specyalnie wiedeńska, a nie światowa. Skąd więc taka czułość, jakiej nie mamy ani dla „sław“ europejskich, ani dla naszych znakomitości?

Kiedy mowa o zmarłych, należy wspomnieć i o... mających się urodzić. Na razie chodzi pogłoska, że przybędzie „coś“ na dworze serbskim — przynajmniej w tym celu nadesłano już kołyskę księżniczce Helenie. Czy to prawda, czy potwarz niedaleki czas okaże.

[1]) Kronika tygodniowa napisana została w poniedziałek — we środę nadeszła ogólnikowa wiadomość, że w Warszawie zwyciężyła koncentracya narodowa.

Redakcya.



Ofiary lokautu.

Wiadomo, że lokaut fabrykantów łódzkich trwa od szeregu tygodni bez zmiany, a wszelkie próby przejednania ukrywających się w Berlinie potentatów polskiego Manchesteru nie odnoszą najmniejszego skutku. Wysyłano do fabrykantów deputacyę z Warszawy i Łodzi, ale delegaci powrócili z Berlina z niczem. A tymczasem dziesiątki tysiecy robotników w Łodzi przymierają z głodu i chłodu wraz z rodzinami. Społeczeństwo stara się o ile możności przychodzić z pomocą tym tłumom biedaków, ale samo wyczerpane materyalnie skutkiem przejść ostatnich, poradzić skutecznie żadną miarą nie może. Więc położenie w Łodzi staje się z każdym dniem rozpaczliwsze. I coraz daremniej cisną się morzone tygodniami głodem rodziny ofiar lokautu do biur komitetów ratunkowych, gdzie brak już dalszych środków pomocy.... Właśnie fotografia nasza wyobraża jednę z takich scen obecnej nędzy w tem największem polskiem mieście fabrycznem: głodni stoją przed kantorem „Kuryera Łódzkiego", błagając o ratunek. A tu właśnie w tych dniach władze administracyjne zamknęły to pismo na czas stanu wojennego, pomawiając redakcyę o zbytnie sprzyjanie robotnikom walczącym z lokautem.



Ofiary lokatu w Łodzi: Morzone głodem rodziny robotników febrycznych oczekują na wsparcie przed kantorem »Kuryera Łódzkiego« w tych dniach zawieszonego na czas stanu wojennego

Krajowy wiec nauczycielstwa we Lwowie.

Potężnym głosem ozwało się w ubiegłą niedzielę we Lwowie nauczycielstwo całego kraju, głosem, którego echo poszło poprzez kraj cały, daleko na wschód i zachód, po Wisłę i po Zbrucz. Ozwało się nauczycielstwo ludowe, ta wielotysięczna armia białych murzynów, wołając śmiało i donośnie, świadome swych praw o poprawę bytu, o regulacyę i podwyższenie płac.

Długo organizowany, z mrówczą cierpliwością przygotowywany wiec nauczycieli i nauczycielek całego kraju, wypadł wspaniale, imponująco. Już w sobotę wieczór widoczny był we Lwowie napływ mnóstwa zamiejscowych, ruch na obu dworcach kolejowych panował nadzwyczaj ożywiony, toż samo w mieście. Największa część uczestników zjazdu przybyła jednak dopiero w dzień wiecu, udając się wprost z dworców na miejsce obrad, do olbrzymiej ujeżdżalni obok boiska sokolego pod parkiem Łyczakowskim. Od rana więc ciągnęły z miasta ulicą Łyczakowską zastępy nauczycielstwa, przeważnie pieszo, tramwaye bowiem, choć szły w górę wszystkie nabite pasażerami, mogły przewieść zaledwie drobniutką, znikomą część wiecowników, obliczonych na 6 tysięcy osób.

Zwolna zapełniała się wielka ujeżdżalnia Sokoła, coraz więcej bowiem napływało osób, aż po



Sejm galicyjski: Przewodniczący Sejmowi marszałek krajowy hr. Stanisław Badeni.
(Do artykułu na stronie 4.)



Fot. umyślnie dla »Now. Ill.« N. Lissa, nadw. fot. we Lwowie.

Sejm galicyjski: Poseł Stapiński (1) uzasadnia swój wniosek w pełnej Izbie o powszechne głosowanie. (2 nowy poseł krakowski dr. W. Staniszewski).

10 godzinie zabrakło wewnątrz miejsca i ci, którzy ostatni przyszli, musieli zostać na dworze. Na wiec przybyli też goście, zaproszeni przez komitet organizacyjny. Między nimi: metropolita ks. Szeptycki, wiceprezydent Rady szkolnej krajowej dr. Płażek, wielu posłów sejmowych, przeważnie z lewicy, oraz byli posłowie do Rady państwa: Breiter, Danielak, Daszyński i Petelenz.

Obrady zagaił nauczyciel, p. S. Głogoszewski, przemawiając w języku polskim i ruskim, w wiecu bowiem brali udział nauczyciele polscy i ruscy. Następnie wybrano prezydyum, poczem zabrał głos referent komitetu p. Pałka.

Nastąpiła dyskusya. Chwilami spokojna i poważna, chwilami zaś burzliwa i namiętna. Zdawało się kilkakrotnie że wiec nie skończy się żadnymi uchwałami, że zostanie rozbity. Zwłaszcza kryty[czną] była chwila, gdy na trybunę wstąpił cel[em] zabrania głosu, poseł dr. Głąbiński. Na widok je[go] część obecnych na sali podniosła gwałtown[e] protesty i krzykami i hałasem uniemożliwiła [p.] Głąbińskiemu wygłoszenie przemówienia. Toż sam[o] spotkało b. posła Daszyńskiego, który wnet pote[m] zamierzał przemawiać. Uspokoił częściowo rozn[a]miętnione zgromadzenie dopiero poseł Stapiński.



Fot. nadw. N. Lissa, Lwów.
Sejm galicyjski: Poseł Głąbiński (X) przyjmuje w przedsionku sejmowym deputacyę włościańską. (Do artykułu na stronie 4).



Fot. nadw. N. Lissa we Lwowie.
Sejm galicyjski: Posłowie opuszczają gmach sejmowy po posiedzeniu. (Do artykułu na stronie 4).

Poza tem wiec wypadł — jak to na wstępie za[znaczyliśmy] — wspaniale i imponująco. Ta nieprzeliczona masa ludzi, to morze głów, wypełnia-



Fot. dla »Now. Ill.« N. Lissa, nadworny fot. we Lwowie.
Krajowy wiec nauczycielstwa ludowego we Lwowie: Uczestnicy wiecu, zapełniający w liczbie sześciu tysięcy ujeżdżalnię Sokoła.

jące obszerną ujeżdżalnię sokolą, przejęte jedną myślą, jednym celem i tą jednością potężne, to był obraz, jaki rzadko zdarza się widzieć. Wiecem tym udowodniło nauczycielstwo ludowe galicyjskie, że jest karne i posłuszne zleceniom swej organizacyi, udowodniło, że stanowi armię silną i jednolitą, która nie pozwoli na dalsze poniewieranie sobą. To też spodziewać się trzeba, że głos tych sześciu tysięcy dojdzie do murów Wysokiego Sejmu, że poruszy serca jego większości i że ostatecznym rezultatem niedzielnego wiecu będzie odpowiednie, stanowcze poprawienie bytu nauczycielstwa ludowego.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne wiecu podczas obrad, oraz grupę członków deputacyi, która na wiecu tym została wybrana i następnego dnia przedstawiła marszałkowi kraju rezolucye wiecu.

„Jelonek“.

W prasie warszawskiej wspomina się teraz ciągle imię „Jelonek“, ile razy pisze się o sprawach politycznych przed sądem.

Jelonek, to przezwisko partyjne. Człowiek ten, którego podobiznę dziś zamieszczamy, nazywa się właściwie Czesław Jaroszyński. Był niegdyś bojowcem na bruku warszawskim, ale kiedy go raz aresztowano, w więzieniu uległ namowom policyi śledczej i zaczął jej udzielać wskazówek co do swych towarzyszy partyjnych. Na skutek jego zeznań aresztowano też mnóstwo osób, z których większość siedzi dziś w celach Pawiaku lub w podziemiach cytadeli warszawskiej.

* * *

W ostatnich czasach „Jelonek“ osadzony w twierdzy Brześcia Litewskiego, odebrał tam sobie życie, powiesiwszy się nocą w swej celi.



Fot. umyślnie dla »Now. Illustr.« N. Lissa, Lwów.

Wiec nauczycielstwa ludowego we Lwowie: Delegacya wiecu do marszałka krajowego: pp.: 1. Andruszkiewiczowa, 2. Witwicki, 3. Malicki, 4 Rudnicka, 5. Seleski, 6. Nowak.



Z kroniki zamachów: Ciężko poraniony kapitan Patkowski, naczelnik powiatu łęczyckiego,



Poseł milioner: Zmarły w Wiedniu dr Arnold de Porada Rapaport.

Poseł milioner.

Przed kilku dniami zmarł w Wiedniu jeden z najwybitniejszych polskich finansistów, dr. Arnold de Porada Rapaport. Pochodził on z Krakowa, gdzie rozpoczął karyerę adwokacką a już w 1876 roku powierzyła mu krakowska Izba handlowa i przemysłowa mandat do sejmu. W trzy lata później tażsama instytucya wybrała go ze swego grona posłem do Rady państwa, na którem to stanowisku pozostał do końca życia. Zmarły był jednym z założycieli Galicyjskiego Banku dla handlu i przemysłu, a następnie wiedeńskiego Länderbanku. I w Sejmie i w Radzie państwa dr. Rapapport gorąco popierał rozwój galicyjskiego przemysłu i w spraw ekonomicznych naszego kraju. Pod koniec życia założył w okolicach Krakowa hutę żelazną i walcownię.

* * *

Przez szczęśliwe spekulacye doszedł do znacznego majątku, którego umiał używać w szlachetny i rozumny sposób. Gorliwym też był zwolennikiem asymilacyi Żydów i sam dawał przykład, że można być wyznania mojżeszowego, lecz przy tem dobrym Polakiem.

Specyalnie miasto Kraków, jako rodzinne miasto b. p. Rapaporta, zawdzięczało mu bardzo wiele, gdyż przy każdej sposobności pamiętał o niem, bądź to będąc rzecznikiem jego postulatów w Wiedniu, bądź też przeznaczając co roku wcale znaczne sumy na biednych Krakowa. Obecnie, jak się dowiadujemy, przeznaczył zmarły testamentem 400.000 kor. dla biednych w Galicyi.

Z kroniki zamachów.

Był czas, że każdy zamach polityczny na obszarze Królestwa Polskiego stanowił sensacyę. Dziś już publiczność tak się z tem oswoiła, że poprostu dziwi się, gdy którego dnia w kronice swojego dziennika nie znajdzie ani jednej wzmianki o nowym mordzie na tle politycznem. Toteż trzeba okoliczności nadzwyczajnych i osobistości bardzo już wybitnej, by zamach obudził większe zajęcie. Publiczność interesuje się jeszcze tylko fotografią ofiary, lub sprawcy napadu.

Zamieszczamy dziś właśnie podobiznę byłego komisarza policyi łódzkiej, a obecnie naczelnika powiatu łęczyckiego, kapitana Patkowskiego. W tych dniach jechał on do Ozorkowa, gdy wtem kilku ludzi napadło na niego i poraniło go ciężko strzałami rewolwerowemi. Sprawcy zbiegli, a rannego odwieziono do szpitala do Łodzi.



»Jelonek«: Znany na bruku warszawskim eksbojowiec denuncyant Czesław Jaroszyński.

Premiera Zygm. Przybylskiego.

Publiczność krakowska już do kilku lat nie miała sposobności zebrać się w teatrze na premierze poświęconej popularnemu w Polsce autorowi „Wicka i Wacka“, p. Zygmuntowi Przybylskiemu.

Zapewne chcąc spłacić wobec krakowskich bywalców teatralnych dług zaległości, wystawiła dyrekcya sceny miejskiej w ostatnią sobotę trzy jednoaktówki p. Przybylskiego, których nie grano jeszcze nigdzie, a które wyszły z pod pióra płodnego komedyopisarza dopiero w ostatnich miesiącach.

Zobaczylimy tedy „Antkowe wesele“, „Pożegnanie“ oraz „Księżyc i słońce“. Wszystkie trzy utwory noszą cechę wybitną stosunków warszawskich. W „Antkowem weselu“ dosłuchaliśmy się dalekiego echa tych wstrząsających wypadków, które rozgrywają się obecnie za kordonem. Zarówno w tej jednoaktówce, jak i w „Księżycu i słońcu“ rzecz dzieje się w sferach mieszczańskich, tak rzadkich w dzisiejszej twórczości scenicznej. Pierwsza rozgrywa się w zamożniejszej rodzinie rzemieślniczej, bohater zaś drugiej reprezentuje proletaryat dzisiejszej Warszawy.

Wszystkie zresztą trzy utwory najnowsze p. Przybylskiego utrzymane są w tonie wesołym, który cechuje komedye autora „Dzierżawcy z Olesiowa“. Obok humoru i werwy mają one jeszcze tę zaletę, że są przystępne dla licznych kół publiczności, obawiających się, ze względu na panienki, utworów dramatycznych. Będą tedy miłą rozrywką dla panien pragnących znaleść ją teraz po karnawale w teatrze. Powodzenie sobotniej premiery było zupełne, jednoaktówki bowiem tego sympatycznego komedyopisarza mają już zdawna ustaloną opinię nietylko na scenach polskich, ale czeskich, rosyjskich i niemieckich, gdzie „Bzy kwitną“, „Pierwszy bal“ itp. cieszą się powodzeniem zasłużonem. Świeżo spotkało p. Przybylskiego nowe uznanie w postaci pierwszej nagrody na konkursie we Lwowie za jednoaktowe komedyjki dla scen amatorskich, mianowicie za najnowszy utwór tego rodzaju pt: „Mgła“.



Fot. aparatem przy sztucznem oświetleniu W. Lis.

Premiera Zygmunta Przybylskiego: Autor nowych jednoaktowych komedyj, których pierwsze przedstawienie odbyło się w teatrze krakowskim dnia 16 b. m.

Z bruku lwowskiego.

(O zjeździe nauczycieli, ich wiecu i ich patronach. — Coś ze Sejmu. — Pater Stojałowski. — Operetkowe więzienie. — Ważne wyjaśnienie.

Nie robię z zasady polityki, ale obradujący u nas obecnie Sejm tak bardzo rozpolitykował całe miasto, a nawet kraj cały, że trudno w sprawozdaniu z tygodnia pominąć ten najważniejszy w tej chwili temat.

Z powodu obecnej sesyi sejmowej zjechała się ubiegłej niedzieli oświata z całego kraju w liczbie 6.000 reprezentantów na wiec, aby w szeregu rezolucyj upomnieć się o polepszenie bytu. Przebieg wiecu znany jest z dzienników. Ciekawem jest tylko, że na obradach wiecu wystąpili jako patronowie nauczycielstwa ludowego: demokraci, socyaliści, wszechpolacy, ludowcy, bezwyznaniowi, klerykali, stańczycy, słowem reprezentanci wszystkich prawie kierunków politycznych, a założyłbym się o głowę księdza Stojałowskiego, że nauczyciele nic więcej nie uzyskają ponad to, co im Wydział krajowy dać zamierza. Pomimo, że na wiecu za nimi przemawiali wszyscy bez wyjątku reprezentanci stronnictw sejmowych, a więc cały Sejm. Ten sam Sejm wykpi ich rezolucye a zatwierdzi to, co przedłożył Wydział krajowy... Ale wiecu użyto w celach agitacyjnych i każdy kandydat na posła wygłosił przy tej sposobności mowę agitacyjną dla — siebie.

W mieście panował ruch niezwykły pomimo niepogody, a tramwaje na linii dworzec Łyczaków aż stękały z przepełnienia. W restauracyach, kawiarniach i mleczarniach zjedzono i wypito wszystko, czego od szeregu tygodni nie można było pozbyć i pytano, czy niema więcej. Nauczyciele mają bowiem apetyt, a ostatni wiec zaostrzył im apetyt jeszcze bardziej. Biedni ludzie! Oni wierzą w dobrą wolę obecnego Sejmu! *Selig, wer glaubt...*

* * *

Zaraz nazajutrz ci sami, którzy przyszli wczoraj na wiec, aby gębować za nauczycielami, głosowali w Sejmie... przeciw nim, a pater Stojałowski, który na wiecu być nie miał odwagi, w Sejmie dowcipkował na temat ich postulatów. Dowcipy były wprawdzie stare, ale za to niemądre. Mimo to śmiało się z nich stronnictwo, do którego ks. Stojałowski należy. Niektórzy, zwłaszcza ci, którzy dopiero co wrócili z bufetu, trzymali się za brzuchy...

O samym Sejmie napiszę zresztą w następnym liście. Dziś jeszcze zanotować muszę wesoły epizod karnawałowy, jaki wydarzył się w lwowskiem więzieniu przy ul. Batorego w ubiegłym tygodniu. Oto więźniowie celi Nr. 38 postanowili urządzić sobie karnawał na swój sposób i wybili dziurę w podłodze, przez którą przedostali się do celi... damskiej na pierwszem piętrze. Tu zaangażowali „damy“ do... tańca i rozpoczęli szeroką zabawę, która przeciągnęła się przez całą noc i obfitowała w wielką moc emocyi. Piękne aresztantki, między niemi jakaś urocza Milka, bardzo były rade z tej niespodziewanej wizyty, która w dziejach galicyjskich kryminałów jest jedyną dotychczas i zapewne posłuży innym aresztantom za wzór. Nawet starsze, leciwe aresztantki brały udział w zabawie i były bardzo zadowolone. O dobrem usposobieniu i humorach rozbawionych par opowiadają sobie istne bajki. Jeden z panów „zatańczył się“ aż do zupełnego wyczerpania. Jak bal, to bal. Nazajutrz znaleziono go zemdlonego w celi... damskiej. Oczywiście, że w zarzadzie więzienia i w prezydyum sądu powstała niesłychana konsternacya. Więźniowie bowiem urządzili sobie ten bal i dziurę bez pozwolenia i poprzedniego zgłoszenia. Dziurę załatano, ale fakt stał się głośnym, a więzieniu przy ulicy Batorego nadano nazwę więzienia operetkowego.

Epizodem całego zajścia była znów w tym tygodniu krwawa bójka w temże więzieniu, spowodowana zazdrością i chęcią zemsty dawnego adoratora pięknej Milki, który teraz wziąwszy do pomocy kilku więźniów, napadł w celi na aranżera balu i potłukł go do krwi. Aż lekarze musieli go opatrzyć i odesłać do szpitala.

Tak więc więzienie nasze ma swoje bale, swoje miłostki, sceny zazdrości, krwawe bójki itp., a cały pluton wojska i sztab dozorców patrzy na to i dziwi się.

W mieście mówią dotąd o tym balu więźniów, a najciekawiej dopytują się o szczegóły nasze piękne i zawsze ciekawe panie, które już dawno nie mogą pojąć barbarzyńskiego zwyczaju trzymania „męskich“ więźniów osobno, a osobno „damskich“. Powinni siedzieć razem. Niech się nad tem zastanowią miarodajne sfery, bo wiele względów przemawia za tem, a tylko bardzo mało przeciw temu. Może nowy parlament, mający się wybrać na podstawie powszechnych wyborów, unormuje tę sprawę w sposób bardziej ludzki i towarzyski.

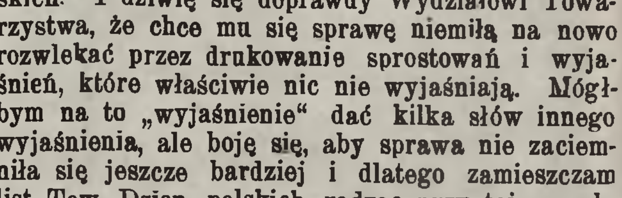
* * *

W końcu sprawa wyjaśnienia, jakie przesłało nam Towarzystwo dziennikarzy lwowskich. W jednym z poprzednich listów „Z lwowskiego bruku“ wspomniałem o rezygnacyi prezesa Tow. p. Adama Krechowieckiego, a pisałem o tem tak, jak mówiono w kołach dziennikarskich. Nie miałem przy tem żadnych ubocznych zamiarów uchybienia p. Krechowieckiemu, którym wprawdzie jako dramaturgiem się nie zachwycam, ale którego szanuję jako zasłużonego prezesa Tow. dziennikarzy polskich. I dziwię się doprawdy Wydziałowi Towarzystwa, że chce mu się sprawę niemiłą na nowo rozwlekać przez drukowanie sprostowań i wyjaśnień, które właściwie nic nie wyjaśniają. Mógłbym na to „wyjaśnienie“ dać kilka słów innego wyjaśnienia, ale boję się, aby sprawa nie zaciemniła się jeszcze bardziej i dlatego zamieszczam list Tow. Dzien. polskich, radząc przy tej sposobności zastępcy prezesa p. F. Rawicie Gawrońskiemu, aby zaskarżył p. Aleksandra Milskiego o... sfałszowanie podpisu.

(*Wyjaśnienie to zamieszczamy w tym numerze na str. 20*).

Wszystko to razem, to wiele hałasu o nic. Ale niech tam!

Klewe...



WŁADIMIROW.

Wykradzenie więźniów z Pawiaka.

2

W tym celu było umówione między nimi, że w razie, jeżeli mistyfikacya będzie zdemaskowana, przerwą natychmiast druty telefonowe i sygnałowe, zapasowe rewolwery rozdadzą tym z uwięzionych, których zdążą przyprowadzić do kancelaryi i wspólnemi siłami napadną na administracyę więzienia.

V. W kancelaryi więzienia.

W tym czasie baron Budberg wszedł do kancelaryi więziennej, podał rękę dyżurującemu pomocnikowi naczelnika więzienia, Maciulewiczowi, wręczył mu adresowany na imię naczelnika więzienia, zapieczętowany pakiet ze stemplem kancelaryi warszawskiego oberpolicmajstra, opatrzony kolejnym numerem dziennika ekspedycyi, z pieczęcią lakową oberpolicmajstra.

Adres na kopercie napisany był na maszynie piszącej.

Wręczając ten pakiet, baron Budberg zapytał Maciulewicza:

— Czy wszystko gotowe do wyprawienia więźniów politycznych?

— Najmocniej proszę o wybaczenie — odparł tonem pokornego służbisty — pan rotmistrz będzie musiał chwilę zaczekać; jeszcze nie wszystkie papiery przygotowane. Niech pan będzie łaskaw spocząć.

Baron rozgniewał się za tę zwłokę i tonem zwierzchnika powiedział:

— Przecież pana uprzedził oberpolicmajster, by na chwilę mego przyjazdu było wszystko gotowe. Dlaczegóż ta zwłoka? Czy zapomniałeś pan, jak trzeba wypełniać rozporządzenia władzy?

— Proszę o wybaczenie, panie rotmistrzu, upewniam jednak, żem nie zawinił... skoro otrzymałem telefoniczny rozkaz jego ekscelencyi, natychmiast siadłem do biurka przygotować papiery. Pan zabiera od razu tak wielu aresztantów, że nie miałem możności wypełnić wszystkich formalności kancelaryjnych w ciągu jakiejś pół godziny... pozostało mi tylko kilka papierów.

— Spiesz się pan, żebym długo nie czekał i wydaj rozporządzenie wyprowadzenia aresztantów — łagodniej już powiedział baron Budberg.

Maciulewicz spiesznie wydał rozkaz kilku dozorcom, sam zaś wziął się do pisania i jak służbista, surowo zmonitowany przez zwierzchuika, utonął cały w papierach kancelaryjnych, obawiając się wywołać gniew rotmistrza.

I tak dalece zagłębił się w pracy, tak spieszył naprawiać służbowe uchybienie, za które natarto mu uszów, że nie zwracał już na nic uwagi i nie wdawał się w żadne rozmowy.

A o to właśnie chodziło rotmistrzowi Budbergowi.

Usiadł on swobodnie przy stole naprzeciwko Maciulewicza, powoli wydobył papierośnicę z bocznej kieszeni i zapałki, zapalił papierosa, poczem nader uważnie rozejrzał się w około, zapamiętał rozkład drzwi, miejsce, gdzie znajdował się telefon miejski, wewnętrzna sygnalizacya i dzwonki.

Kancelarya mieściła się w niewielkim względnie pokoju, zastawionym wszędzie stołami, z brudną podłogą.

Baron Budberg oczekiwał spokojnie, nie okazując najmniejszego wzruszenia, lecz jednocześnie bacznie śledził każdy ruch Maciulewicza, szczególniej zaś wyraz jego twarzy.

Gdy Maciulewicz wziął do ręki otrzymany od rotmistrza pakiet, obrócił go w ręku, popatrzył na pieczęć i wreszcie otworzył, baron skupił na nim całą uwagę, usiłując z wyrazu jego twarzy wyczytać, czy w odezwie nie znalazła się jaka omyłka, czy zachowane w niej zostały ściśle i wiernie wszelkie subtelności kancelaryjne, czy nie nasunie mu się myśl, że wszystko to jest mistyfikacyą.

W nagłówku odezwy był litografowauy stempel warsz. oberpolicmajstra z kolejnym numerem ekspedycyi; cała jej treść drukowana była na maszynie, następnie szły podpisy: oberpolicmajstra naczelnika kancelaryi i sekretarza.

Odezwa nakazywała naczelnikowi więzienia śledczego wydać okazicielowi pakietu, oddzielnego korpusu żandarmów rotmistrzowi von Budbergowi, dziesięciu więźniów, z wymienieniem ich nazwisk i imion, oraz z dokładnem wyszczególnieniem z czyjego rozkazu każdy z nich został uwięziony i w rozporządzeniu jakiej władzy pozostaje.

Przeczytawszy ten nakaz Maciulewicz zrobił uwagę:

— Rzecz szczególna, doprawdy, oberpolicmajster daje rozkaz, abym panu wydał więźnia N., a tymczasem mam inne rozporządzenie, które otrzymałem dnia dzisiejszego, żebym wysłał go do gmachu sądu wojennego, gdzie ma być obecny przy roztrząsaniu sprawy. Nic nie rozumiem! Cóż teraz robić?

Baron drgnął... nie wiedział on, że o jednym z więźniów wszczęto konferencyę, by go przenieść gdzieindziej. Niemiła ta okoliczność mogłaby zepsuć całą sprawę, gdyby Maciulewicz nie był tak przelękniony surowością rotmistrza.

— Tak, wiem o tem... wezmę go z sobą i oddam kancelaryi cytadeli, żeby stamtąd wyprawili go do sądu... Kończ pan prędzej...

— Jak pan każe — zgodził się Maciulewicz pokornie i znów utonął w papierach.

Sprawdził on skrupulatnie wszystkie nazwiska z rozporządzeniem uprzednio otrzymanem przez telefon, a przekonawszy się, że niema pomyłki, zaczął pisać.

Upływały długie chwile trwożnego oczekiwania... Baron liczył je z niecierpliwością, tłumiąc w sobie silne wzruszenie, gdyż wiedział, że każda minuta zwłoki może zaważyć na szali ich życie.

Palił papierosy jeden za drugim, całą siłą hamując w sobie straszne napięcie nerwów.

Martwa cisza panowała wokoło...

Z poza grubych drzwi żelaznych, wiodących z kancelaryi do więzienia, nie dolatywał najmniejszy szmer. Nic nie zdradzało jakichkolwiek przygotowań do wyprawienia wieźniów, którzy lada chwila powinni być dostawieni do kancelaryi.

Ta przygniatająca cisza, senny spokój więzienia, przytłaczały barona; w duszy jego wszystko wrzało, wstał, żeby przejść się po pokoju.

Maciulewicz podniósł głowę, spojrzał w stronę rotmistrza i odezwał się nieśmiało:

— Żeby pan wiedział, panie rotmistrzu, jaką męką jest służba przy takich porządkach. Więzienie przepełnione, co mówię — przepełnione — poprostu nabite w dosłownem znaczeniu tego wyrazu. Napchano aresztantów dwa razy tyle, na ilu jest miejsce; stąd też wynikają różne nieprzyjemności, pretensye... Nie jesteśmy w możności spełnić ich żądań, a z drugiej strony władza wymaga najściślejszego wykonywania przepisów, a i aresztanci — lud niespokojny... same tylko nieprzyjemności... to nie służba, ale katorga.

— W takim razie powinieneś pan być bardzo zadowolony, panie Maciulewicz, że zabieram od pana tak wielu aresztantów i jeszcze tak niebezpiecznych — powiedział baron z pewną ironją w głosie.

— Zapewne, ale co to znaczy dziesięciu ludzi, gdy chodzi o setki więźniów przepełniających więzienia... ot, gdyby pan zwrócił na to uwagę władzy i gdyby zechciała ona to uwzględnić... lepiej byłoby żyć...

W tej chwili odsunęła się ciężka zasuwa drzwi żelaznych, wiodących do więzienia; baron zwrócił się z miejsca i skierowawszy wzrok w tym kierunku, czekał z niecierpliwością.

Drzwi otworzyły się, na progu ukazał się starszy dozorca i zwracając się do dyżurnego, raportował:

— Wtej chwili będą wyprowadzali aresztantów. Wszystko gotowe.

VI. Nieszczęśliwy skazaniec.

Dnia tego ciężkie chwile przeżył M. jeden z więźniów. Rano do jego ciasnej, maleńkiej celi przyszedł w całym swym blasku jenerał, jeden z członków sądu wojennego i uroczyście wręczył mu akt oskarżenia, z art. 273, grożącego mu karą śmierci. Widok tego sytego jenerała, pełnego zadowolenia, jego mundur błyszczący, ugrzeczniona mowa przy okrutnych i niesprawiedliwych słowach aktu oskarżenia, wywarły na nieszczęsnym młodzieńcu przygnębiające wrażenie; chwilami zdawało mu się, że to był przebrany kat, który przyszedł z zamiarem pastwienia się nad nim i męczenia swej ofiary. Zapowiedź, że grozi mu kara śmierci uderzyła go, jak grom; nieoczekiwał tego, gdyż był zupełnie niewinny, nie wiedział i nie rozumiał za co mogli go skazać na karę śmierci?

Przedtem wręczony mu był inny akt oskarżenia, z następstwem kary niewielkiej. I teraz nagle taka zmiana.

— Dlaczego? Jaka przyczyna? — gubił się w domysłach.

Po wyjściu jenerała w padł w straszny rozstrój nerwowy, długo chodził z kąta w kąt po swojej celi, opuściwszy głowę. Niekiedy z piersi jego rwały się krótkie oderwane zdania, jakby odpowiedzi samemu sobie, na męczące go pytania. Podniecenie jego rosło.

Zmęczona wyobraźnia nasuwała mu ponure obrazy: zdawało mu się, że wyrok już zatwierdzono i lada chwila czeka go kaźń... Z oczyma pałającemi zatrzymywał się w pośrodku swej celi i zamierającem sercem wsłuchiwał się w najlżejsze szmery, idące z kurytarza, starał się rozróżniać kroki, zbliżające się do drzwi..

Z każdą chwilą oczekiwał, że oto otworzą się drzwi i na progu ukaże się czerwona figura kata...

Oczekiwanie to męczyło, go jak zmora.

Lepiej skrócić, przerwać te straszne męki, lepiej samemu rzucić się w objęcia śmierci, niż czekać na nią z pokorą.

I nie mógł znieść tej męki. Wyczekawszy chwili, gdy szpiegowskie „oko“ we drzwiach przymknęło się, młodzieniec chwycił drżącemi rękami prześcieradło i skręcił z niego sznur, którego jeden koniec przywiązał do kraty okna, a z drugiego zrobił pętlę, zacisnął ją na szyi i zawisł...

W tej chwili z lekkim szmerem otworzyło się „oko nadzorcze“... drzwi naraz szumnie się rozwarły; wylękniony dozorca więzienny wpadł do celi i zdjął nieszczęsnego z pętli śmiertelnej. Złożono go na tapczanie, zawiadomiono naczelnika więzienia, zdwojono nadzór.

Długo leżał na tapczanie, wpatrzony nieruchomym wzrokiem w jeden punkt. Leżał nie czując, nie myśląc. Stracił świadomość tego, co go otacza. O zwykłej godzinie przyniesiono mu obiad. Nie tknął go. Wieczorem przynieśli mu czajnik z wrzątkiem, zaproponowano naparzyć herbatę — odmówił. O 10-ej wieczorem administracya więzienna, obchodząc więźniów, weszła do jego celi: on wciąż leżał obojętny, nie zdając sobie sprawy, gdzie jest i co się z nim dzieje?

Przyszła noc.. zaczął drzemać wpół leżąc na tapczanie. Sen złagodził jego cierpienia, zatarł w jego pamięci wszystko, co było męczące i straszne, a co przeżył w tym dniu fatalnym; w czarownych rojeniach roztoczył przed nim inne obrazy, radosne; w jego zgorączkowanym mózgu powstały jak żywe, wspomnienia drogich lat dziecięcych.

Za drzwiami zaskrzypiała zasuwa żelazna. O zwał się ostry metaliczny dźwięk drzwi otwieranych, na progu stanął starszy dozorca więzienny, żołnierz z karabinem i kilku innych dozorców w głębi.

Starszy dozorca, zwracając się do więźnia, powiedział tonem suchym:

— Zbierz pan swe rzeczy i wychodź.

Zerwał się naraz z tapczanu, usiłując oprzytomnieć, gdzie jest? Co to za ludzie i czego chcą od niego? Otrząsnąwszy się z rojeń sennych, zrozumiał, że to kaci, którzy go poprowadzą na kaźń, na szafot i z piersi jego wyrwał się jęk rozpaczy:

— Za co?

Nie było wątpliwości, że prowadzą go na kaźń. Gdzieżby indziej w tak późną noc; niebawem świtać zacznie... Dozorca milczał: wyraz jego twarzy był chłodny, obojętny jakby drewniany. Widząc jednak powolność ruchów więźnia, zaczął go gniewnie pobudzać, mówiąc, że oczekują go w kancelaryi.

Nieszczęsny młodzieniec... domyśla się on, że tam, w kancelaryi, czeka go kat w czerwonej koszuli, czarna kareta, zwiększony konwój... a tam... śmierć!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, poszedł za strażnikami więźnia.

Wyszedłszy do kancelaryi, zobaczył kilku innych więźniów, których zapewnie oczekiwał taki sam los opłakany. Tu znajdowała się i straż więzienna i oficer żandarmski.

Ten ostatni odrazu zwrócił uwagę na tego bladego, zmieszanego młodzieńca, zrozumiał jak wiele przeżył on w ciągu ciężkich chwil oczekiwania śmierci.

VII. Piekło niepewności.

Wprowadzono innych aresztantów i niewielki pokój kancelaryjny stawał się coraz ciaśniejszy.

Baron Budberg z niecierpliwością oczekiwał, kiedy nareszcie skończą się te przygotowania i pilnie śledził za niemi.

Na twarzach wszystkich więźniów wypisane było wzruszenie trwożne: gubili się w domysłach, dlaczego wyciągnięto ich z cel więziennych, w noc tak późną i dokąd ich wieźć zamierzają?

Gdyby tylko miano ich przewieźć do innego więzienia, to można byłoby zrobić również dobrze to we dnie, a nie nocą. Dlatego można przypuszczać, że wywożą ich teraz w innym celu, być może na miejsce kaźni?

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z Towarzystwa dziennikarzy polskich

otrzymnjemy następujące pismo z prośbą o umieszczenie:

„Szanowna Redakcyo! Prosimy o umieszczenie w najbliższym numerze „Nowości Illustrowanych“ następującego wyjaśnienia: W numerze 4. „Nowości Illustrowanych“, w ostatnim ustępie „Z lwowskiego bruku“, korespondent lwowski Szan. Redakcyi, pisząc o wniesieniu przez prezesa „Towarzystwa Dziennikarzy polskich“ p. Krechowieckiego rezygnacyi z godności prezesa Towarzystwa, uczynił uwagę, że Wydział „Towarzystwa Dziennikarzy polskich“ uczynił prezesowi swemu „żądaną owacyę“ i że na skutek tej owacyi prezes pozostał“.

„Otóż doniesienie to jest zupełnie mylne. Wydział, w którym zasiadają reprezentanci rozmaitych dzienników, o rozmaitych kierunkach politycznych, nie przyjąwszy rezygnacyi prezesa i wysławszy do niego list z prośbą, aby rezygnacyę swą cofnął, wcale nie urządzał mu jakiejś „żądanej owacyi“. Uchwała ta, powzięta jednomyślnie, była wyrazem zapatrywań wszystkich członków Wydziału, a podyktowało ją nie czyjeś „żądanie“, lecz wzgląd na dobro i rozwój „Towarzystwa Dziennikarzy polskich“.

„Nadto mylnem jest, jakoby na skutek tej uchwały p. Krechowiecki cofnął swą rezygnacyę, gdyż przeciwnie, w liście wystosowanym nazajutrz po tej uchwale Wydziału, utrzymał rezygnacyę nadal, pozostawiając ostateczne jej rozstrzygnięcie walnemu zgromadzeniu członków Towarzystwa.

Z poważaniem

Towarzystwo Dziennikarzy polskich.

Edmund Kolbuszewski za sekretarza. *Franc. Rawita Gawroński* zast. prezesa.

Ofiara zemsty czy pomyłki.

W wichurze, jaka rozpętała w Warszawie wszystkie żywioły po ogłoszeniu październikowego manifestu konstytucyjnego w r. 1905, toczyły się po sobie gwałtowne wypadki, to krwawe, to znowu jasne, słoneczne, pociągające za sobą mnóstwo ofiar życia lub czci, których na razie ani zliczyć, ani należycie sprawdzić nie było można. Pomawiano dla byle jakich celów ludzi nieposzlakowanych to o szpiegostwo, to o zdradę. Ile na tem polu wyrządziła krzywd zemsta osobista, któż zliczy!

Jednym z takich niesłusznie posądzonych o fakt naprowadzenia patrolu na jedną z procesyj narodowych, był p. Antoni Nawrot, którego podobiznę załączamy, tem chętniej to czyniąc, że nie brakło pod on czas i w kilku pismach warszawskich podobnie krzywdzących wzmianek o jakimś przebranym księdzu.



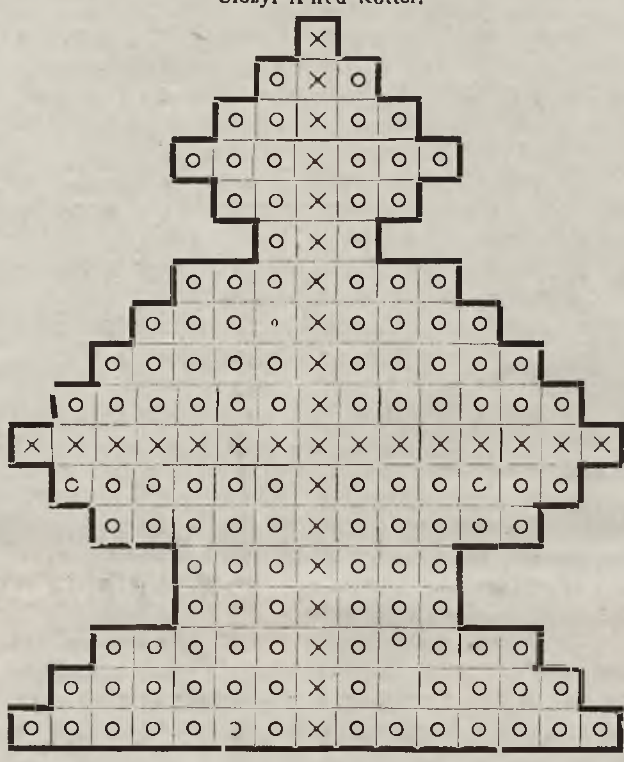
Ofiara zemsty czy pomyłki: Antoni Nawrot, zarządca apteki w Ożarowie w gubernii radomskiej, niesłusznem posądzeniem skrzywdzony w czasie wypadków listopadowych w 1905 w Warszawie.

Tymczasem, jak się okazało z przedsięwziętych dochodzeń, fakt ten, acz zdarzył się wówczas w listopadzie, nie może być w żaden sposób przypisany p. Nawrotowi. Tenże, acz był czas jakiś klerykiem, ale w Sandomierzu, wkrótce wystąpił z Seminaryum tak, że już w 1898 r. wstąpił na służbę przy kolei wiedeńskiej, którą jeszcze w kwietniu 1905 r. opuścił, zaś 1 go maja tegoż roku wyjechał na Kaukaz w celach zawodowych, skąd wrócił do kraju 1 go lutego 1906 roku, nie był zatem wcale obecnym w kraju, gdy rozgrywały się wypadki listopadowe (1905 r.), w które krzywdząca jakaś prywatna zemsta, lub niebaczna pomyłka wciągnęła nazwisko jego niesłusznie, obarczając ciężkim zarzutem człowieka młodego, kochającego szczerze swą ojczyznę, podobnie jak jego ojciec i cała zacna rodzina, pracująca uczciwie na kawałek chleba.

Zagadki do nagrody

Logogryf.

Ułożył Alfred Rotter.



Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, litery wstawione w miejsce krzyżyków czytane w pionowym kierunku z góry na dół utworzyły imię i nazwisko poety z 18/19 wieku, litery zaś w rzędzie 11 tytuł komedyi przez tegoż autora napisanej.

1. Spółgłoska. 2. Przeciąg czasu. 3. Przedmieście Warszawy po prawym brzegu Wisły. 4. Inaczej gabinet 5. Zjawisko nieb'eskie podczas deszczu i słońca. 6. Rzeka w Afryce 7. Wyspa na Morzu Śródziemnym. 8. Gwiazda. 9. Urząd w dawnej Polsce. 10. Publicysta polski, autor. »Wieczorów florenckich«. 11. ? 12. Dwie prowincye austryackie. 13. Założyciel muzeum tatrzańskiego w Zakopanem, 15. Bogini (jedna z Parek) przecinała nić żywota. 16. Skłonność do smutku. 17. Nazwisko i imię współczesnego poety polskiego. 18. Nazwisko i imię polskiego poety z 19 wieku.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy: »Żerowisko« Bajorasa.

Kącik humorystyczny.

Nowość.

Saul Krautkopf spotyka na ulicy dawnego przyjaciela Izydora Dummkopfa.

— Jak się masz Dummkopf — woła Saul — co słychać u ciebie, czemu ty coś taki dzisiaj smutny?

— Jak ja nimam być smutny, kiedy ja zbankrutowałem i straciłem wszystkie moje pieniądze.

— To — powiada Saul — że ty zbankrutował to ja wiem, ale że można przy bankructwie stracić piniondze, to jest dla mnie nowość i to słyszę po raz pierwszy.

Te dzieci.

Mały Oleś rozgniewał się na swego tatę.

— Tato jest glupi, osioł, dureń!

Matka zaczyna dzieciaka mitygować:

— Widzisz Olesiu, tak nie można do taty mówić! Możesz sobie to pomyśleć, ale tego się nigdy nie mówi!

Zawsze w charakterze.

Sędzia (żegnając się pocałunkiem ze swoją narzeczoną): Termin do dalszej ustnej rozprawy wyznacza się na czwartek o godzinie 4-tej po południu...

Szczyt pogardy.

W pewnym handelku zeszło się dwóch znanych adwokatów, znani również jako najwięksi w mieście pijacy. Obaj jednak nienawidzili się serdecznie i od lat kilku nie gadali nawet ze sobą.

Przypadkowo jednak, z powodu braku miejsca, musieli zasiąść przy jednym i tymsamym stoliku, co ich jeszcze więcej zirytowało. Zaczęli więc sobie na głos przymawiać i docinać. Wreszcie jeden z nich, chcąc drugiemu ostateczny cios zadać, odzywa się do siedzącego obok siebie znajomego:

— Wiesz... nienawidzę tej bestyi jak... jak... szklanki wody!...

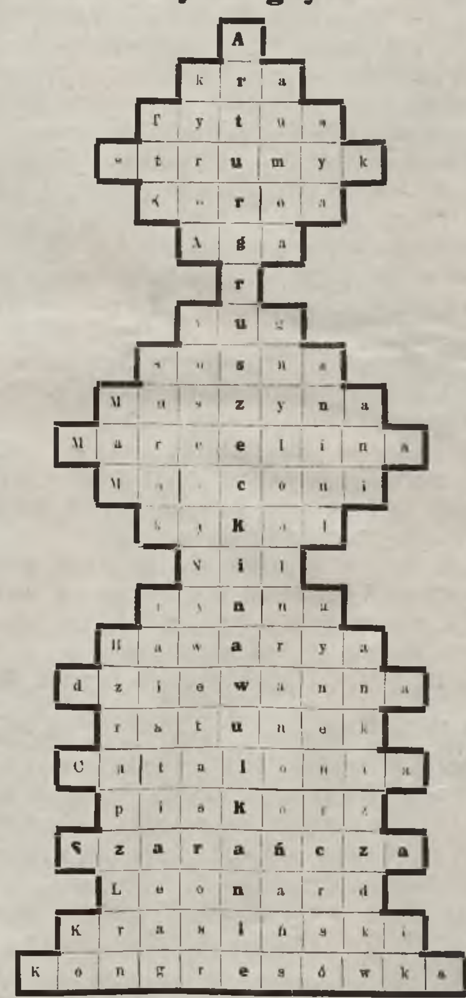
Najlepsze.

— To pan tak rzeczywiście lubisz owoce, panie Adamie? A co z owoców pan lubi najlepiej?

— Wódkę owocową z owoców, proszę pani!

Rozwiązanie zagadek z Nr. 6.

Arytmogryf.



Artur Gruszecki — Na wulkanie — Szarańcza.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: Związek Krawców kat. Kraków, Marya Świlikowa Rzeszów, R. Wierniewski Kraków, Henryka Zwilling Tarnów, E. Kuske Zbików, K. Fuchs Czeremchów, B. Ramułtowa Jeżów, St. Gajdeczka Sieniawa, A. Bocoń Bóbrka, Fr. Niepokój i Tow. »Zgoda« w Krośnie, Pieszkiewicz Kołomyja II, Kazimiera Truka Kołomyja. J. Baszyński Ropienda, Fr. Kalita Gawłuszowice, A. Stadler Lwów, St. Łaszkiewicz Dembica, L. Borówka Warszawa, Janina Kamińska Kołomyja, Solik Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Solik Lwów. Prosimy o nadesłanie 35 hal. na koszta przesyłki.

NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).